

DOI 10.36145/DoC2022.07

This is an open access article licensed under the Creative Commons
Attribution-Share Alike 4.0 International License
(<http://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/>).

Kaleidoscope and Harmonica The Warsaw Uprising through the Eyes of a Five-year-old

*In memoriam of my father Waław Krzeszowski
(pseudonym Gryf), second lieutenant of the
Home Army, who died on August 22, 1944 in
defense of Czerniaków.*

Diary history:

Received 14 April 2022

Accepted 05 May 2022

Available online 21 July 2022



Warsaw 2013

Preface

These are not notes I took on a regular basis when I was five and in the basement. I could read and write then, albeit only lopsided capital letters; however, it never occurred to me to keep a diary. Despite all of that, this is a faithful record of what I remember, the dates of which have been made consistent with my present knowledge of the chronology of The Uprising. This reconciliation of memory and fact is the only element that can be considered literary fiction. Everything that has been recorded, with specific dates and in the smallest detail, corresponds to facts recorded, as in a film, in the memory of a five-year-old. Adhering to the film metaphor, it can be said to be “kaleidoscope” in that it is a film in which individual scenes and shots were filmed in 1944, and then edited seventy years later. My thoughts, dreams, and impressions, written along with the facts, also stayed in my memory and therefore, I can honestly say that this is a diary in every sense (bolding in the original). However, it may turn out that some events took place on a different day than that which I wrote in my diary. For example, I’m not sure exactly when the bomb fell on the outbuilding where our basement was located. However, I know that it was during the period of intensified air raids on our area of Śródmieście. Research into the history of The Uprising continues to bring to light new pieces of information which may turn out to contradict some of my recollections as to the date of certain events. However, I am confident that no new findings will undermine the credibility of the diary, the content of which is the personal experiences of a child, and not a chronicle kept by a professional historian.

And where did the kaleidoscope and harmonica in the title come from? The kaleidoscope was one of my favourite toys and was left in the basement after the fall of The Uprising. The kaleidoscope represents the constant change of the same elements in never-ending new arrangements, creating a beautiful, colourful world to which you can escape from the terrible reality. And yet this reality did break into my dreams at the end of The Uprising, not only in the form of round-ups, German soldiers with rifles and incessant shooting, but also as terrifying, though very colourful, kaleidoscopic,

dream-like abstractions that still haunt me many years later. The harmonica is the only object that I managed to take with me from the basement. During those sixty-three days I tried to play the songs that I heard the freedom fighters sing in the basement and backyard.

Tomasz Paweł Krzeszowski
(University of Social Sciences,
ORCID ID: 0000-0003-1649-7050,
tkrzeszowski@spoleczna.pl)
translated by Iga Maria Lehman



Wacław and Janina Krzeszowscy
Wedding, 1938



Janina Krzeszowska and Tomasz

Warsaw 1942



Dyzio Mamrot and Tomasz Paweł Krzeszowski, 1944



Kalejdoskop i organki Powstanie Warszawskie w oczach pięciolatka

*In memoriam Ojca mojego Wacława
Krzeszowskiego (pseudonim Gryf), podporucznika
Armii Krajowej, który poległ 22 sierpnia 1944 roku
w obronie Czerniakowa*

Warszawa 2013

Słowo wstępne

Nie są to notatki, które robiłem na bieżąco, kiedy, mając pięć lat, siedziałem w piwnicy. Umiałem już wtedy czytać, ale pisać, i to koślawo, potrafiłem tylko duże litery i nawet do głowy mi nie przyszło, żeby prowadzić jakiś pamiętnik. Jest to jednak wierny zapis tego, co zapamiętałem. Ma on formę pamiętnika, w którym daty są uzgodnione z moją dzisiejszą wiedzą o chronologii Powstania. To uzgodnienie jest jedynym elementem, który może być uznany za fikcję literacką. Wszystko, co zostało zapisane pod poszczególnymi datami, w najdrobniejszych szczegółach odpowiada faktom zarejestrowanym jak na taśmie filmowej w pamięci pięciolatka. Trzymając się metafory filmowej, można powiedzieć, że *Kalejdoskop* jest filmem, w którym poszczególne sceny i ujęcia zostały nakręcone w roku '44, a następnie zmontowane siedemdziesiąt lat później. Zapisane obok faktów moje myśli, sny i wrażenia także utrwaliły się w mojej pamięci. Dlatego mogę uczciwie powiedzieć, że to **jest** pamiętnik. Może się jednak okazać, że poszczególne wydarzenia miały miejsce w innym dniu, niż podaję to w pamiętniku. Na przykład nie jestem pewien, kiedy dokładnie spadła bomba na oficynę, w której mieściła się nasza piwnica. Wiem natomiast, że było to w okresie nasilonych nalotów na nasz rejon Śródmieścia. Nieprzerwane badania nad historią Powstania przynoszą wciąż nowe wyniki, które mogą okazać się sprzeczne z moimi domysłami dotyczącymi datowania pewnych wydarzeń. Mam nadzieję, że żadne nowe ustalenia nie podważą wiarygodności pamiętnika, którego treścią są osobiste przeżycia jednego dziecka, a który nie jest kroniką prowadzoną przez zawodowego dziejopisa.

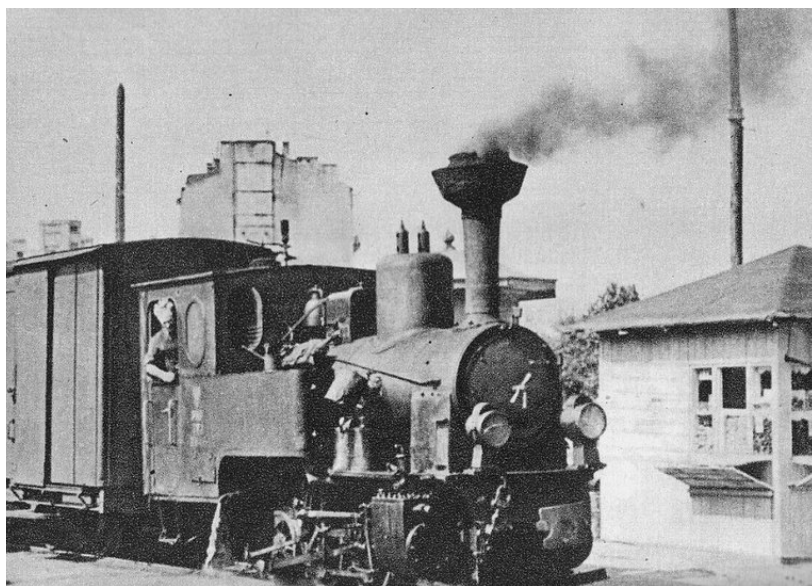
A skąd wzięły się w tytule kalejdoskop i organki? Kalejdoskop to jedna z moich ulubionych zabawek, która została w piwnicy po upadku Powstania. Kalejdoskop to ciągła zmienność, to wciąż te same elementy w coraz to nowym układzie, tworzące piękny kolorowy świat, do którego można uciec od straszliwej rzeczywistości. A jednak ta rzeczywistość wdarła się w moje sny pod koniec Powstania, nie tylko jako łapanek, żołnierze niemieccy z karabinami i nieustanna strzelanina, ale także jako przerażające, chociaż bardzo kolorowe i kalejdoskopowe, senne majaki-abstrakcje, które

prześladowały mnie jeszcze wiele lat później. Natomiast organki to jedyny instrument, który zdołałem wynieść ze sobą z piwnicy. Próbowałem na nich wygrywać powstańcze piosenki usłyszane w piwnicy i na podwórku w ciągu tych sześćdziesięciu trzech dni.

Tomasz Paweł Krzeszowski

Przed powstaniem

Lipiec '44. Trzecie, ostatnie wakacje w Żeraniu. Poprzednie wakacje spędzaliśmy u niejakich Stopów w ich chałupie w pobliżu szosy z Warszawy do Jabłonny. Żerań był wtedy podwarszawską wioską. Jeździliśmy tam kolejką wąskotorową z lokomotywką zwaną samowarkiem. Wsiadaliśmy do kolejki pod mostem Kierbedzia, z niewielką ilością bambetli niezbędnych na wsi, bo skromne gospodarstwo Stopów nie mogło sprostać wymaganiom mieszkańców przywykłych do okupacyjnych luksusów. Podróż trwała około pół godziny. Po minięciu stacji Pelcowizna wysiadaliśmy w Żeraniu.



Kolejka wąskotorowa, czyli „ciuchcia” z „samowarkiem”

Chałupa Stopów znajdowała się niedaleko stacji Żerań, a następna stacja była w nomen omen Piekielku. Jednak tym razem odbywało się to inaczej, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Po pierwsze, zamiast przyjechać kolejką, przyjechaliśmy konną platformą z wielką ilością rozmaitych sprzętów. Czyżby rodzice przewidywali dłuższy pobyt poza Warszawą? Widać jednak zmienili zdanie, bo tą samą platformą i z całym majdanem wracaliśmy w przeddzień powstania do Warszawy. Tej zmiany planów także nie mogę zrozumieć. Żałuję, że nigdy nie pytałem o to matki. Ale o powstaniu nigdy się u nas w domu nie rozmawiało. To akurat mogę zrozumieć. Był to temat tabu, bo budził zbyt bolesne wspomnienia. Słowa były niepotrzebne, wystarczyły regularne wizyty na grobie Ojca i jego Szwagra (Czesława Lecha ps. Biały) na Wojskowym Cmentarzu Powązkowskim. Ta regularność była związana z kolejnymi rocznicami wybuchu powstania i rocznicami śmierci obydwu poległych w tym powstaniu żołnierzy Armii Krajowej. Po drugie, zamiast do państwa Stopów zajechaliśmy pod okazałą, nieistniejącą już nadwiślańską willę państwa Dmochowskich, usytuowaną w obszernym ogrodzie oddzielnym od rzeki wałem przeciwpowodziowym, widocznym z okien (okna?) wynajętego przez nas pokoju. Nie wiem, co łączyło nas z tymi Dmochowskimi. Być może konspiracja. Ojciec brał czynny udział w działalności podziemnej. Ukrywając przed władzami okupacyjnymi swoje wykształcenie (dyplom technika lotniczego uzyskany w Szkole Konarskiego w Warszawie), zarabiał w czasie wojny, pracując fizycznie, jako ryksiarz, przewożąc różne towary spożywcze, szmuglując bimber, a pod tą przykrywką, również broń i amunicję. Z rzadkich i niejasnych powojennych napomknęć mojej matki wynikało, że część tych towarów bywała przechowywana w garażu znajdującym się na podwórku kamienicy przy ulicy Wilczej 28, gdzie mieszkaliśmy w dwupokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze od frontu. W tym właśnie mieszkaniu widziałem ojca po raz ostatni, około godziny 14 w dniu wybuchu powstania. Ale o tym później. Trzecia niezwykłość polegała na tym, że ojciec miał jedną rękę na temblaku. Matka mówiła wtedy, że ojciec ma ten temblak, bo złamał rękę. Ale już po wojnie okazało się, że nie była ona złamana, lecz zraniona. Matka nigdy jednak nie wyjawiała, w jakich okolicznościach to zranienie nastąpiło.

Życie w willi państwa Dmochowskich bardzo różniło się od życia w wiejskiej chałupie państwa Stopów, gdzie nie celebrowało się posiłków i gdzie po raz pierwszy w życiu piłem mleko z cynowego kubka „prosto od kozy”. Dmochowscy z bliższą i dalszą rodziną ceremonialnie zasiadali do wielkiego stołu w obszernym pokoju jadalnym, aby używając rodowej zastawy stołowej, spożywać dary boże w postaci kaszy gryczanej i sadzonych jaj, popijając kompotem z wiśni wyhodowanych we własnym sadzie. Nie pamiętam, czy kompot był nalewany do kielichów do wina jako jego substytut. Pamiętam tylko, że te ich posiłki zrobiły na mnie ogromne wrażenie i ich wspomnienie towarzyszyło mi nieustannie w piwnicy przy ulicy Wilczej, w której spędziłem powstanie.

„Ciocia Jadzia” Gliniojecka, bardzo daleka krewna, która podczas okupacji była moją piastunką, była wtedy nieobecna, bo została w Warszawie, aby pilnować kota o imieniu Dyzio Mamrot, jak się potem okazało nadaremno, bo kociak przepadł gdzieś już w pierwszym dniu powstania. Ciocia Jadzia siedziała z nami w piwnicy przez długie sześćdziesiąt trzy dni, a po upadku powstania i wyjściu z Warszawy tułała się razem z nami przez blisko rok, aż do powrotu mojej babci Stanisławy Pretkielowej ze Szwecji, dokąd trafiła ona z obozu koncentracyjnego Ravensbrück.

Kolejne wspomnienie z tych wakacji dotyczy lornetki ojca. Była to ogromna wojskowa lornetka, w której natychmiast się zakochałem, i przez którą po raz pierwszy w życiu zobaczyłem z bliska ogromny niemiecki samolot. Nie wiem, dlaczego ten samolot przelatywał dość nisko w pobliżu naszego ogrodu i czy miało to jakiś związek z tym, co nastąpiło za kilka dni. Pamiętam tylko, że ojciec kazał mi natychmiast wejść do domu. Jednak nic niepokojącego tego dnia już się nie zdarzyło.

W poniedziałek 31 lipca, tą samą konną platformą i z całym naszym majdanem, wróciliśmy na Wilczą.



Warszawa, ul. Wilcza 28. Widok w roku 2014. Ostatnie trzy okna - to okna naszego mieszkania na trzecim piętrze.

Powstanie

1 sierpnia

Około godziny drugiej po południu tatulek stoi koło prawego okna w dużym pokoju, z ręką na temblaku, i z moją kochaną lornetką na szyi. Żegna się z mamą, potem całuje mnie w oba policzki i wychodzi. Zostajemy sami z cicią Jadzią i z Dyziem Mamrotem. Dyzio Mamrot to kot, na imię miał Dyzio, a na nazwisko Mamrot. Ten Dyzio był trochę złośliwy. Kiedy go brałem na kolana, to go trochę międlilem i mówiłem, że „robię wędlinę”. Myślałem, że wędlina robi się od międlenia i dlatego mówiłem, że robię wędlinę. Ale Dyzio jakoś nie lubił się tak bawić i kiedyś ze złości narobił mi na poduszkę. A to było tak, że białą pościel kładło się na prawdziwe sienniki ze świeżą słomą. Słomę trzeba było co jakiś czas zmieniać, kiedy zaczynała się sypać. Ja wyciągałem z siennika słomki i puszczałem bańki mydlane. Te bańki Dyzio lubił i śmiesznie podskakiwał, żeby je łapać, ale nigdy nie udało mu się złapać żadnej. W każdą sobotę kąpałem

się w wannie. Mamunia wpuszczała do wanny gorącą wodę z węglowego pieca w łazience. Ja siedziałem w wannie i rozmazywałem sobie na brzuchu szyszkę, która pachniała lasem. Bardzo lubiłem to robić. W tym czasie mamunia zmieniała mi pościel i od czasu do czasu słomę w sienniku. Raz, kiedy wróciłem do pokoju, żeby się położyć w czystym łóżeczku, zobaczyłem, że Dyzio kończy właśnie robić kupkę na poduszce. Był bardzo zadowolony, bo machał ogonem na mój widok. Ale mamunia była zła i powiedziała, że kot to nie pies i jak kot macha ogonem, to znaczy, że się denerwuje. Od tej pory już nigdy go nie międlilem. A teraz zostaliśmy z nim w mieszkaniu bez tatulka. Ciocia Jadzia też została z nami. Powiedziała, że powstanie za parę dni się skończy, że co ma być to będzie i że na razie zostanie u nas, a potem się zobaczy.

Tuż przed piątą słyszemy bardzo głośny łoskot. Wyglądamy przez okno na ulicę Wilczą, a tam duży samochód pancerny na gąsienicach szybko przejeżdża od strony ulicy Kruczej w kierunku ulicy Marszałkowskiej. Za chwilę zaczyna się strzelanina: najpierw pojedyncze strzały daleko, ale niedługo potem kanonada. Huk staje się coraz głośniejszy, całe serie, a od czasu do czasu coś jak huk z armaty. Trochę się boję, bo to gorsze niż huk



Tomasz Paweł i Dyzio Mamrot

pioruna, ale na jakiś czas wszystko ucicha. Wtedy wszyscy schodzimy z naszego mieszkania na trzecim piętrze do stróżówki w bramie (po prawej stronie). Tam na ogromnym łóżku leży kilka osób, i mnie tam kładą. Jest bardzo gorąco, duszno i strasznie chce mi się pić. Piję z kubka zimną wodę. Długo nie mogę zasnąć. Co jakiś czas słyszę strzały i huk armat, ale nie jestem pewien, czy mi się to już śni, czy naprawdę strzelają. Chyba mam gorączkę. Śnią mi się jakieś łapanki i niemieccy żołnierze, ale wciąż (przez sen?) słyszę strzały.



Coś takiego przejechało pod naszymi oknami na kilka minut przed
17 w dniu 1 sierpnia

2 sierpnia

Wychodzimy ze stróżówki na nasze podwórko studnię, ale bardzo dziwnie wszystko wygląda. Ściany z lewej i prawej oficyny są jakieś obtłuczone i widać cegły. Nigdy to tak przedtem nie wyglądało. Nie wiem, jak tynk odpadł od ścian. Może spadła jakaś bomba albo strzelali. Ale teraz jest spokojnie. Wprowadzamy się do piwnicy w prawej oficynie. Schodzi się tam schodami po prawej stronie klatki schodowej i skręca się korytarzykiem w lewo. Zajmujemy małą piwniczkę, trochę większą od naszej łazienki, ale mniejszą od kuchni.

Mamunia mówi, że będziemy tu siedzieć, aż się wszystko skończy. Jest nas troje: mamulka, ciocia Jadzia i ja. Dyzio Mamrot gdzieś zaginął i nie ma go z nami. Może siedzi w mieszkaniu na trzecim piętrze, ale mamunia mówi, że tam go nie ma. Przynoszą z góry sienniki i pościel, naczynia i jedzenie. Rozkładamy te sienniki na kamiennej podłodze. Jest tam też jakiś stołek kuchenny. Na nim się nie siada, bo to będzie nasz stół. Prawdziwy stół by się tam nie zmieścił, a i tak nie ma przecież krzeseł.

3 sierpnia

Siedzenie w piwnicy jest całkiem przyjemne. Jest dużo ludzi w sąsiednich piwniczkach. Słyszę, że w jakiejś innej piwniczce ktoś śpiewa „Żołnierz drogą maszerował, nad serduszkami się użalił, więc je do plecaka schował i pomaszerował dalej...”. Śpiewają całą piosenkę, kilka zwrotek. Bardzo mi się ta piosenka podoba, szczególnie melodia. Więc jak tylko skończyli, powtarzam to, co zapamiętałem. Pamiętam melodię, ale nie wszystkie słowa. Ciocia Jadzia mi je przypomina i za chwilę już śpiewamy razem całą piosenkę. Ciocia Jadzia uczy mnie jeszcze *Rozszumiały się wierzyby płaczące*, a chórek z tej innej piwniczki dołącza się do nas. Fajne jest takie wspólne śpiewanie. Próbuję jeszcze zacząć *Jeszcze Polska nie zginęła*. Znam wszystkie zwrotki i melodię. Potrafię to zagrać na organkach, ale ciocia Jadzia nie śpiewa ze mną, tylko mówi, że musi iść po coś na górę. Chyba lepiej teraz tego nie śpiewać?

4 sierpnia

Rano wychodzę z mamą na podwórko, żeby się umyć. Jest tam pompa, z której bierzemy wodę. Mama nalewa do miednicy wody i myje mi buzię, uszy i szyję. Trochę się opieram. Kilka razy dziennie rozlega się syrena alarmowa, po której mam natychmiast wracać z podwórka do piwnicy. Teraz ta syrena znowu zaczyna wyć, raz wyżej, raz niżej, aż cichnie i znowu zaczyna raz wyżej, raz niżej. Nie będzie dziś dłuższego mycia w zimnej wodzie, ale za to będzie nalot. Jak syrena tak wyje, to znaczy, że pewnie będzie nalot i bombardowanie, ale nie wiadomo gdzie i dokładnie kiedy.

Musimy jednak wracać do piwnicy. Mama mówi, że za bramę, na ulicę nie wolno mi wychodzić, nawet jeśli nie wyje syrena. Siedzę w piwnicy na swoim sienniku i słyszę wybuchy bomb, ale gdzieś daleko. Z bliska słyszać serie z karabinów maszynowych. Tego boję się bardziej, bardziej niż dukci i bardziej niż jak „pan robi puk, puk”. „Dukcie” to kłębki kurzu pod łóżkiem. Gdy ktoś stukał młotkiem za ścianą naszego mieszkania – to stukał już w sąsiedniej kamienicy (Wilcza 26). Pytałem mamę, co to za hałas, a ona mówiła, że jakiś pan pewnie wbija gwóźdź do ściany. Ale on to robił bardzo często i za każdym razem mówiłem „Pan puk, puk” i strasznie się bałem tego „puk, puk”. Bałem się tak samo jak dukci. Ale teraz boję się jeszcze bardziej tych serii z karabinów maszynowych i tych wybuchów. Słysząc je w dzień i w nocy, a tylko chwilami jest cisza. Ale jak jest cicho, to też się boję, bo na pewno za chwilę znowu będzie kanonada.

5 sierpnia

Od rana śpiewam sobie: „Siekiera, motyka, piłka, szklanka, w nocy nalot, w dzień łapanka, siekiera, motyka, piłka, gwóźdź, masz górala i mnie puść. Teraz jest wojna, kto handluje ten żyje...” – podśpiewuję wiele dalszych zwrotek. Nawet nie wiem, skąd ja to znam. Czy z podwórka, czy tak śpiewał tatulek? On ma wspaniały słuch i od niego nauczyłem się różnych piosenek, które teraz śpiewam. Słyszę też nowe piosenki. Ciocia Jadzia też podśpiewuje. Mamunia nie śpiewa, bo nie ma słuchu. Podobno ma zdolności do rysunku i malarstwa, ale jakoś nic nie maluje. Teraz jest wojna, kto handluje ten żyje. Przypomina mi się pan, którego rodzice nazywali Sasza. Był bardzo, bardzo wysoki i trochę już siwy. Przyszedł kiedyś do nas na trzecie piętro z ogromną pękatą teczką i usiadł za wielkim okrągłym stołem w większym pokoju. Z teczki zaczął wyjmować butelki wódki. Chyba było sześć albo więcej tych butelek. Nalepki były niebieskie. Wódka też była niebiesko czysta. Ustawiał równiutko te butelki na stole jedną obok drugiej. Mamulki ani tatulka nie było, tylko ja i ciocia Jadzia. Czy on handlował tą wódką? Nie wiem, po co ją przyniósł i dla kogo ona była. Coś mówił do cioci Jadzi i przecierał okulary, ale nic nie rozumiałem. Wyszedł szybko, zostawiając te butelki na stole. „Kto handluje ten żyje, sprzedamy

rąbankę, słoninę, kaszanke i bimbru się wnet napijem”. Ale to chyba nie był bimber, który widziałem w garażu tatulka. Bimber nie był tak niebiesko czysty, tylko żółtawy. Kaszanka? Chyba lepsza od słoniny.

6 sierpnia

Ciocia Jadzia ma siostrę – ciocię Władzię, która jednak z nami nie mieszka. Nigdy tej cioci nie widziałem. Ale ciocia Jadzia ciągle o niej opowiada. Ciocia Władzia mieszka chyba na Pradze przy ulicy Grochowskiej albo w Grodzisku na stacji kolejowej, bo jej mąż czy brat jest kolejarzem. Ciocia Jadzia opowiada też o jakimś Karolku. On jest bratankiem czy siostrzeńcem. Ma tyle lat co ja i mieszka tam, gdzie ciocia Władzia, na Grochowie, i jest biedny, bo musi nosić okulary. Ciocia Jadzia mówi, że te okulary kiedyś mu się stłukły na nosie i skaleczyły mu buzię i oko. Bardzo mnie to zmartwiło i szkoda mi tego Karolka. Ja nie będę nosił okularów. Ale ciocia Jadzia nosi takie druciane i wygląda w nich jak baba-jaga. Ma też bliznę na policzku po operacji. Mówi, że miała zapalenia okostnej, a potem wdała się ropa-gangrena, i ciocia Jadzia o mało nie umarła. Mówi, że jak nie będę chodził do dentysty, to też mogę dostać tej ropy-gangreny. Ona lubi opowiadać takie straszne historie, zamiast opowiadać mi bajki o sierotce Marysi albo o Jasiu i Małgosi. Potem znowu śpiewam „Z młodej piersi się wyrwało...”.

7 sierpnia

Ciocia Jadzia lubi pomadki i dziurawiec. Mówi, że dziurawiec jest zbawienny na woreczek żółciowy, który jej od czasu do czasu dolega. Pomadkami z dużej bombonierki zagryza te paskudne ziółka. Teraz pije tylko dziurawiec, bo pomadek nie ma, gdyż sklep pana Drobota w naszej kamienicy (w suterynie od frontu) jest zamknięty. Może u pana Drobota ciocia Jadzia kupowała pomadki? Ja je też lubiłem, ale nie chciałem pić dziurawca i mówiłem, że mnie żaden woreczek nie boli, bo ja nie mam żadnego woreczka. Nie wiem, co to jest ten woreczek żółciowy i jak wygląda, bo do tej pory ciocia Jadzia mówiła

„woreczek” na torebkę, którą mamunia nosi ze sobą i trzyma w niej różne dziwne rzeczy: tusz do rzęs, puderniczkę... Używa tych rzeczy, kiedy się „robi na bóstwo”. Ciocia Jadzia nigdy się nie robi na bóstwo i dlatego pewnie musi pić dziurawiec.

8 sierpnia

Rano było cicho. Mamunia wychodzi ze mną na podwórko, żeby mnie umyć. Ledwie wróciliśmy do piwnicy, znowu słysząc strzały i wybuchy, czasem z bliska, a czasem z daleka. Ale trochę mi się nudzi, więc gram z ciocią Jadzią w Czarnego Piotrusia i w wojnę. Ale wojna to beznadziejnie głupia gra i nie wiadomo, dlaczego się tak nazywa, bo prawdziwa wojna nie jest przecież wcale nudna, tylko okropna. W grę gra się tak, że talię dzieli się na dwie części, ale nikt nie patrzy w swoje karty, tylko wyklada na stolik kolejną kartę jak leci. Kto ma wyższą kartę, ten zabiera ze stołu obie karty i kładzie pod spód talii. Wszystkie kolory są tak samo ważne, liczy się tylko, która karta jest starsza. Gdy wyłoży się dwie dziesiątki czy inne takie same karty, wtedy jest wojna i wyklada się następne, i tak samo dalej, aż ktoś położy starszą kartę, i wtedy bierze wszystko i kładzie pod spód swoich kart. Nazywa się to „branie lewej”. Nie trzeba wcale myśleć ani nic kombinować. Wygrywa ten, kto weźmie przeciwnikowi wszystkie karty. Ta gra to taki brydż dla dzieci, bo też się bierze lewe. Nie wiem dlaczego lewe, a nie prawe. Przed powstaniem w brydża grała babcia, mamunia, tatulek i inne osoby. Specjalnie spotykali się na brydża w mieszkaniu dziadka Jasia i babci Stasi i wszyscy grali godzinami i pili jakieś nalewki i od czasu do czasu coś jedli. Ja siedziałem z nimi i wiem, że też brali lewe, ale ciągle się kłócili i mieli pretensje, jak ktoś źle zagrał. Teraz nikt nie gra tu w brydża i nie ma chętnych do gry w wojnę, tylko ciocia Jadzia czasem trochę pogra ze mną, ale gra jest beznadziejnie nudna i nigdy się nie kończy i nie ma się o co kłócić. Lepszy jest Czarny Piotruś. Mam specjalne karty do Piotrusia. Ta gra nie jest nudna, bo może w nią grać kilka osób i trzeba kombinować, jak zagrać. Nauczyłem sąsiadkę grać, ale znudziła się dość szybko, bo woli stawiać pasjanse.



Karty do gry w Czarnego Piotrusia

Znowu wyje syrena alarmowa, długo, raz wyżej, raz niżej, jakby już miała skończyć, ale znowu wyżej i przeciągle, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Za jakiś czas okropne wybuchy, może to bomby, albo jakieś wielkie działa. Boję się. Nie mogę zasnąć. A jak bomba spadnie na nas, to czy zaraz rozbije cały dom? Może w piwnicy nic nam się nie stanie. Pytam ciocię Jadzię i mamunię, ale one nic nie mówią, tylko zaczynają się modlić: „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko”. Kanonada trwa, ale żadna bomba nie spada na naszą kamienicę, chociaż trochę się trzęsie.

9 sierpnia

Przez całą noc strzelanina i wybuchy, ale gdzieś dalej. Boję się nawet wyjść na podwórko. Nauczyłem się nowej piosenki, która mi się bardzo podoba. „Rozszumiały się wierzby płaczące...” – słyszałem, jak ktoś ją śpiewał na podwórku i grał też na mandolinie. Od razu zapamiętałem słowa i melodię, która jest bardzo prosta. Śpiewam ją sobie w kółko, a ze mną ciocia Jadzia

i pani sąsiadka. Wszystkim się podoba to śpiewanie, aż jakaś starsza pani mówi, żebyśmy nie śpiewali, bo to ruska piosenka, tylko słowa są polskie. I nawet powiedziała po rosyjsku tytuł tej piosenki. Ale chyba nie ma tam mowy o żadnych wierzbach płaczących. No to co, że ruska melodia? Mnie się i tak podoba. Ale w końcu zaśpiewałem *Serce w plecaku*, które też jest piękne.

10 sierpnia

Wyrzałem na chwilę na ulicę, a tam jakby pełno jakichś papierków spadło z nieba. Ktoś mówi: „Szkopskie ulotki”. Nie wiem, co to jest, biorę kilka i niosę pokazać mamuni. Ale ona jest jakaś niezadowolona i smutna. Pytam, co to jest, a ona, że nic, że to tylko niemiecka „propaganda”. Dalej nie wiem, o co chodzi. Więc pytam, co to jest „propaganda”. Mamunia mówi: „Propaganda, nie propaganda”, i że namawiają nas, żeby wyjść z piwnicy i z Warszawy. No to może wyjdziemy? „W żadnym wypadku” – mówi mamunia i dalej już nie chce rozmawiać, a ulotki wrzuca do kozy. Bo mamy kozę, taki żelazny piecyk z długą rurą aż za okienko. Na tej kozie ciocia Jadzia gotuje zupki z kartofli i cebuli, wodę do mycia i inne rzeczy. Nawet nie wiem, skąd się ta koza wzięła w piwnicy, ale jest bardzo potrzebna, bo mamy też węgiel, którym przed powstaniem paliliśmy w piecach i w kuchni. Mało jest tego węgla, tyle tylko, ile zostało z zeszłej zimy.

11 sierpnia

Pani sąsiadka ciągle stawia pasjanse. Mówi, że nic jej nie chce wyjść, to znaczy, że wojna się prędko nie skończy. Między jednym pasjansem a drugim odmawia litanię do Matki Boskiej, żeby wyszedł następny pasjans, żeby się skończyło powstanie. Ale nic z tego, następny pasjans też nie wychodzi, a kanonada raz bliżej, raz dalej, nie ustaje. Ja jakoś już mniej się boję. Dopiero jak jest dłuższa cisza, to myślę, że może to już koniec wojny. Ale nie, za chwilę jeszcze głośniejsze strzały. A potem jeszcze ta wyjąca syrena. I wszystko jest jak zawsze, znowu zaczynają strzelać i znowu bomby potrząsają kamienicą, i znowu nie można wyjść nawet na podwórko. Przez tę syrenę w ogóle się dzisiaj nie myślę. Słysząc syreny. Potem bomby, ale gdzieś dalej. Bliżej strzelanina. Strach wyjść na podwórko.

12 sierpnia

Pani sąsiadka robi sobie obiad, czyli herbatkę z łupiny z kawałkami sucharów. Prawdziwej herbaty nikt już nie ma. Zamiast tego suszy się na gazecie łupiny z jabłek. Potem zalewa się je wrzątkiem i kto ma, dodaje cukru albo sacharyny. My mamy jeszcze i cukier, i trochę mąki, z której ciocia Jadzia robi oładki. Pani sąsiadka będzie jadła taką herbatkę jak zupę, bo wrzuca do swojej herbatki kawałki sucharów z białej bułki. Ma jeszcze te suchary, bo przyniosła je do piwnicy. Przed powstaniem jeszcze bywała biała bułka, albo raczej razowy chleb. Pani sąsiadka je to, siorbie głośno i mówi, że to bardzo smaczne. Wracam do swojej piwnicy na kluski kartoflane. Są lepsze niż te sucharki. Piję herbatkę z łupin z prawdziwym cukrem. Potem wychodzę na podwórko, ale zaraz wracam, bo znowu wyje syrena. Coraz bliżej słyszeć wybuchy. Na podwórzu szaro od pyłu. Coraz głośniejsze słyszeć denotacje jakichś cięższych pocisków albo bomb.

13 sierpnia

Od rana słyszeć wybuchy bomb bardzo blisko. Mamunia nie pozwala mi wyjść na podwórko i nie ma mowy o żadnym myciu. W pewnym momencie słyszeć jakiś świst, a potem cała kamienica znowu się trzęsie. Na podwórku słyszeć głośne krzyki. Nie wiem, co krzyczą, ale chyba się boją. Potem jest znowu dłuższa cisza. Może już koniec. Ale nie, teraz słyszeć ciężkie i głośne buczenie samolotów. Lecą chyba bardzo nisko. Potem znowu wybuchy bomb, zupełnie blisko nas. Chyba teraz już na nas coś spadnie. Ciocia Jadzia i mamunia mówią *Pod Twoją Obronę i Zdrowaś Mario*. Ja też umiem już pacierz, więc też mówię *Zdrowaś Mario*. Chyba to pomaga, bo jakoś nic na nas nie spada. Wybuchy bomb powtarzają się jeszcze długo. Nie ma dziś jedzenia. Piję tylko herbatkę jabłkową. Kładziemy się spać na siennikach i nie wiemy, co będzie dalej.

14 sierpnia

Wyszedłem przed bramę na ulicę Wilczą. Naprzeciwko pali się dom. Nie ma już szyb w oknach, palą się jeszcze framugi i z tych dziur po oknach wyleciało

mnóstwo jakichś papierów. Niektóre są pospinane ze sobą. Jest tam kilka papierowych teczek. Umieć już czytać, bo nauczyłem się na klockach do czytania, jeszcze przed powstaniem, jak się bawiłem tymi klockami. Mam też książeczkę *Literki zaczarowane, otwórz książkę wstaną same*. Kiedy otwiera się książeczkę, literki wstają i na różnych stronach układają się w wyrazy, a do tego są obrazki z tym, co tam jest napisane. Mamunia przyniosła mi książeczkę z góry, więc mam ją ze sobą w piwnicy. Szybko zbieram te papiery, ile się tylko da, i wracam na podwórko. Próbuję czytać, co tam jest napisane, ale to po niemiecku. Po niemiecku znam tylko nazwy dni i miesiący, bo nad łóżkiem w moim pokoju wisiał niemiecki kalendarz. Na tych papierach też są takie wyrazy, jak Februar i September, więc wiem, że to po niemiecku, ale nie rozumiem więcej. Ale bardzo się cieszę, że mam te papiery, bo będę się mógł bawić w biuro. Chwalę się mamuni i cioci Jadzi swoim łupem, ale jakoś one się nie cieszą. Dobrze jednak, że nie każą mi tego wyrzucić. Zapomniałem powiedzieć, że ogień w tej kamienicy naprzeciwko już był mały i kamienica nawet się nie zawaliła, ale nadal stała. W środku spalona i pusta. Jakby ktoś wyłupili oczy, toby wyglądał jak ta kamienica. Przypomniało mi się, tatulek czytał mi książkę o tym, jak Krzyżacy, czyli szkopy, wyłupili polskiemu rycerzowi oczy. Rycerz nazywał się Jurand. Bardzo mnie to zmartwiło, i nawet płakałem. Wyobraziłem sobie wtedy, jak może wyglądać ktoś, komu wyłupiono oczy. Teraz nagle sobie o tym przypomniałem, ale nie płaczę, bo znalazłem te papiery. Chyba głupie, żeby myśleć o tym biednym rycerzu, kiedy się patrzy na kamienicę bez szyb i okien.

Od wczoraj słysząc, że to gdzieś blisko nas, po lewej stronie od bramy. Tam jest ulica Krucza, a dalej Aleje Ujazdowskie, gdzie z mamunią zawsze chodzimy... chodziliśmy... do parku. Nawet mam zdjęcia ze Stasiem, Lechem i Halusią Krzeszowską, jak stoimy nad stawem. Na zdjęciu mamy chyba dwa albo trzy lata. Teraz mamy po pięć lat, bo rodziliśmy się w roku 1939, ale Halusia jest najstarsza, bo się urodziła w lutym 1939, a Stasio najmłodszy, z sierpnia. Ja jestem w środku, z czerwca. Ale teraz nie ma mowy o pójściu do parku. Bo to z tamtej strony słysząc najbardziej te wybuchy i strzały.



Od lewej: Stasio Lech (syn kapitana „Białego” Czesława Lecha, brat cioteczny),
Halusia Krzeszowska, Tomasz Krzeszowski. Park Ujazdowski 1942 (?)

15 sierpnia

Mamunia mówi, że mam się modlić do Najświętszej Panienki. Mamunia już dawno nauczyła mnie całego paciorka i odmawiam go zawsze przed spaniem. W paciorku jest modlitwa *Zdrowaś Mario*. Kiedyś pytałem mamunię, kto to jest ta Maria czy Maryja. Mamunia mówi, że to jest Matka Boska, ale nie wiem, co to znaczy. Czy ona urodziła Bożę? A może to jest żona pana Boga? Mamunia coś mi mówiła, że Pan Bóg nie ma żony, ale ma matkę, do której trzeba się modlić. A Maryja jest matką Jezusa, do którego też się trzeba modlić, i że jak będę starszy, to wszystko zrozumiem. Mamunia od rana powtarza „Mój



Tomasz Krzeszowski i Halusia Krzeszowska (siostra stryjeczna).

Park Ujazdowski 1942 (?)

boże, bożyczku”. Cały czas słyszać bomby. Dzisiaj bardzo głośno i gdzieś niedaleko. Mamunia mówi: „Módl się, Tomeniu”. Mamunia zawsze mówi do mnie Tomenio, chociaż na drugie mam Paweł, bo urodziłem się w dzień Jana i Pawła. Ale nikt nigdy nie nazywa mnie Pawełek, bo Pawełek to ktoś inny. To jest jakiś mój kuzyn czy daleki krewny. Nigdy go nie widziałem, ale często o nim słyszałem, bo on jest jeszcze bardzo malutki i jest młodszym bratem mojej narzeczonej. Moja narzeczona nazywa się Jo. Jo jest córką cioci Niny, którą czasem odwiedzaliśmy na ulicy Górnośląskiej. W ich mieszkaniu był wielki stół i mamunia grała przy tym stole w ping-ponga z ciocią Niną i jej mężem Cezarym. Oni mieli na nazwisko Jung. Nie wiem dlaczego, o nich

teraz myślę i co teraz robią: Jo, Pawełek, ciocia Nina i wujek Cezary. Może też siedzą w jakiejś piwnicy i się boją tak jak ja, że jakaś bomba spadnie na ich dom. Powtarzam *Zdrowaś Mario* i *Pod Twoją obronę*, ale chyba pani Maryja jest zajęta i nie zwraca na mnie uwagi, bo wciąż słyszeć tylko bomby i świstanie pocisków, a potem wielkie „bum”, i tak przez cały dzień.

16 sierpnia

Mamunia przyniosła z góry parę moich zabawek, kalejdoskop, organki i cymbałki, na których próbuję grać nowe piosenki z powstania. Ale na cymbałkach niewiele da się zagrać. Organki też nie są prawdziwym instrumentem i najlepiej wychodzą kolędy. Próbuję zagrać *Wśród nocnej ciszy*, ale to zupełnie nie pasuje do niczego. Do Bożego Narodzenia jeszcze daleko, jest dzień i nie ma żadnej ciszy, bo wciąż walą bomby i pociski. Na ulicę nie wychodzę, bo mamunia gniewała się trochę wtedy, gdy przyniosłem te papiery. Bawię się w biuro, ale szybko mnie nudzi ta zabawa. Najbardziej podoba mi się skorozeszyt z takim kółkiem, na którym zawieszono są te papiery. Ciocia Jadzia, która trochę zna niemiecki, mówi, że to są rachunki i pokwitowania jakiejś firmy. Daty na tych papierach potrafię odczytać sam. Nie rozumiem, co tam jeszcze jest napisane. Nie wiem, jak jeszcze można się bawić tymi papierami, więc w końcu wrzucam je do naszej kozy jako podpałkę. Przynajmniej taki będzie z nich pożytek. Patrę w kalejdoskop. Bardzo lubię ten kalejdoskop. Ładniej w nim widać niż w lornetce tatulka. Wszystko jest bardzo kolorowe i ciągle się zmienia. A to tylko szkiełka. Jak się kalejdoskop pokręci albo potrząśnie, to znowu jest coś nowego, i jeszcze ładniej. Najlepiej wyjść na podwórko, bo w piwnicy jest ciemno i mało można zobaczyć, co tam się nowego układa. W kalejdoskopie jest ciągle wesoło i kolorowo, a na podwórku szaro od pyłu. A w piwnicy ciemno. Bardzo lubię ten swój kalejdoskop. Dostałem go na Gwiazdkę od świętego Mikołaja.

17 sierpnia

Strasznie głośne wybuchy daleko i bardzo blisko. Słyszeć jakieś dziwne ryczenia, jakby ryczał osioł. Potem wybuchy. Nie wiem, co to jest, ale się

boję. Boję się wyjść na podwórko. To się powtarza. Yyyh, Yyyh, Yyyh, pięć albo sześć razy, a potem bum, bum, bum, też sześć razy. Nigdy nie słyszałem czegoś takiego. Tak chyba ryczy jakieś duże zwierzę, może osioł, może krowa, a może jakieś inne. Ale chyba osioł tak głośno nie może ryczeć, bo słysząc to aż w piwnicy, a te bum, bum jakby gdzieś dalej. Co to może być? Na pewno nic dobrego. Dzisiaj w ogóle się nie myłem, ani wczoraj. Mamunia przyniosła wodę w kubie i zaraz gdzieś znowu wyszła przez dziurę w ścianie korytarza, przez którą można przejść do piwnicy w sąsiedniej kamienicy. Przez tę dziurę przechodzi wciąż dużo ludzi w jedną i drugą stronę. Na naszym korytarzu są dwie takie dziury, jedna bliżej nas tuż przy schodach, a druga dalej, na drugim końcu korytarza. Przez te dziury wciąż ktoś przechodzi i dlatego po naszym korytarzu ciągle ktoś chodzi w te i we w te. Mnie nie wolno jest przechodzić przez te dziury. I tak bym się bał, że po drugiej stronie coś mi się stanie i nie będę mógł wrócić. Mamunia niedługo wraca i mówi, że to ryczenie to nie jest żadne zwierzę, tylko jakaś specjalna armata, która wystrzela zapalające bomby, po sześć, jedna za drugą, i że od tych bomb zapalają się całe domy. Mówi, że ta armata nazywa się „krowa”. To jednak nie osioł, ale ryczenie nie bardzo przypomina ryczenie krowy. Słyszałem, jak krowy ryczą w Żeraniu w czasie wakacji i dlatego wiem. Słyszałem też, jak ryczy osioł, bo tatulek kiedyś pokazywał mi osła na obrazku i wtedy mi zaryczał parę razy, żebym wiedział, jak mówi osioł. Naśladował też konia, krowę i świnie. To teraz wiem, że ta nowa armata ryczy jak osioł, tylko głośniej. Samo ryczenie jest okropne, ale najgorsze są te wybuchy. Okropnie się boję, że niedługo i na naszą kamienicę spadnie taka bomba.

18 sierpnia

Cały czas strzelanina i wybuchy. Wychodzę jednak na podwórko. W bramie ktoś głośno czyta gazetę i stoi tam bardzo dużo ludzi, którzy powychodzili z piwnic, żeby słuchać. Ale to nie jest gadzinówka. Gadzinówka to gazeta wydawana przez szkopów, nazywa się „Kurier”. Tatulek mówił, że nie będzie jej czytał. Ten pan w bramie miał białą-czerwoną opaskę. Pan z opaską czytał jakąś polską gazetę. Słyszałem, jak ludzie mówią, że to się nazywa biuletyn.

Nie wiem, co to słowo znaczy, ale mamunia mówi, że to polska gazeta i jest ciekawa, co usłyszałem. Ale ja nie zrozumiałem dokładnie, o czym ten pan czytał. Chyba coś, że samoloty z Francji i Anglii zrzucają broń i jedzenie dla nas. Rzeczywiście latają nad nami jakieś samoloty, ale nie buczą tak nisko jak niemieckie bombowce i nie zrzucają bomb, tylko jakieś ciemne pakunki czy walizki. Widzę je dokładnie, bo wlałem na trzecie piętro klatki schodowej po drugiej stronie podwórka. Z okna widać spory kawał nieba, a na nim te jakieś inne samoloty, które wydają mi się malutkie jak zabawki. Ale to są prawdziwe samoloty. Znowu strzelanina i bardzo głośne wybuchy gdzieś niedaleko, więc szybko uciekam do piwnicy.

19 sierpnia

Głośna strzelanina i wybuchy. Boję się wyjść na podwórko. Przed powstaniem bałem się, jak pan za ścianą robił puk, puk. Ale teraz to nie jest puk, puk. Teraz jest okropnie głośno i już wiem, że to są bomby i wielkie pociski. Słychać też całe serie z karabinów maszynowych. Bałem się też burzy i piorunów. One też bardzo mocno hałasowały, a ja mówiłem, że „brzmi”. Wtedy chowałem się pod stół. Mamunia mówiła, że to Bozia się gniewa. Teraz nie wiem, czy to Bozia się gniewa, czy ktoś inny. Przecież to szkopy strzelają z armat i chcą nas zabić. Ale przecież byłem grzeczny i nie wychodziłem na ulicę, ani nie zbierałem odłamków po tym, jak mamunia powiedziała, że nie wolno mi zbierać odłamków. Kilka jeszcze mam. Strzępione kawałki żelaza wyglądają jak kładzione kluski, które robiła ciocia Jadzia, tylko nie są żółte, a ciemne i czarne. W korytarzu ktoś śpiewał: „Pierwszy tydzień margaryna, drugi tydzień sacharyna, a na trzeci gównu dają, bo już sami nic nie mają. Oj bieda, bieda wszędzie, dopóki ta wojna będzie”.

Ale wojna jeszcze jest, bo wciąż strzelają. Zjadłbym chleba z margaryną, a najlepiej z marmoladą. Marmoladę mamunia kupowała w sklepie Drobota w suterynie. Leżała u niego na ladzie jak jakiś kawał belki, miała kolor buraków. Pan Drobot odkrajał nożem duże kawałki i kładł na wagę, taką śmieszną z odważnikami, a potem owijał w gruby szary papier. Ale już nie ma sklepu i nie ma marmolady. Nie ma żadnego chleba, tylko trochę sucharów. Pan



Jan i Stanisława Pretkielowie w swoim mieszkaniu przy ul. Rybaki (Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych)

Drobot miał jeszcze banany, ale nie prawdziwe, tylko z cukru, w różnych kolorach. Prawdziwych bananów nie widziałem, tylko opowiadała mi o nich babcia Stasia, która z dziadziusem mieszkała na Rybakach w Wytwórni. Nie widziałem ich już dawno i nie wiem, czy u nich jest też powstanie. Mamunia mówi, żebym się nie martwił, że niedługo już wyjdziemy z tej piwnicy i wtedy zobaczę znowu babcię i dziadziusia.

20 sierpnia

W nocy i od rana straszna kanonada. Bombardowanie słyszeć bardzo głośno. Strzelają armaty całkiem blisko. Potem nagle cisza. Chyba dzisiaj jest niedziela, bo mamunia od rana mówi, że się dawno nie kąpałem i nie wiadomo kiedy się wykupię jak w każdą sobotę. Ale wczoraj cały dzień siedziałem w piwnicy. Więc dzisiaj jest niedziela, ale nie idziemy do kościoła, bo nie można wyjść na ulicę.

Mamunia mówi, że jednak trzeba mnie umyć dokładnie, i nogi, i szyję w ciepłej wodzie, bo wczoraj się nie myłem. Z ciocią Jazią zagrzały gar wody na kociołku i wychodzimy z dużą miednicą na podwórko. Wtedy nagle zaczyna ryczeć krowa. Na podwórku słyszeć ją głośno. Boję się tego ryczenia bardziej niż huk armat i strzelaniny, bo potem zaraz jest okropne bum, bum. Zostawiamy miednicę i gar z gorącą wodą na podwórku koło trawnika i w te pędy uciekamy do piwnicy. Wtedy zaraz słyszeć sześć razy bum, bum, bum, bum, bum, bum bardzo, bardzo blisko. Trzęsie się kamienica, a z sufitu coś się sypie. Robi się szaro. Ale za moment znowu chwila spokoju. Mamunia przynosi z podwórka miednicę i gar z wodą i trochę myje mnie i siebie. Ciocia Jazia też się trochę myje, żeby zmyć ten pył. Już nie wychodzę na podwórko, tylko chodzę po korytarzu piwnicy. Tam na końcu, przed zakrętem i dziurą w ścianie do domu obok ktoś gotuje zupę. Drzwi są otwarte i widać jak jakaś pani miesza w garnku. Pachnie bardzo ładnie. Nie wiem, jaka to jest zupa. Może zacierkowa, może kartoflanka, a może grochówka. Ja najbardziej lubię szczawiową z jajkiem na twardo i z kartofelkami ze skwarkami. Patrzę i patrzę, boję się zapytać. Ciocia Jazia przybiega za mną i mówi, że zaraz będziemy jedli swój obiad. Znowu jest kasza. Nie lubię kaszy, ale mamunia mówi, że bym nie grymasił, bo nic innego nie będzie, nawet jajek sadzonych, które jedli państwo Dmochowscy w Żeraniu przed powstaniem. Jem kaszę i myślę o tych zupach i jajkach. Potem gramy w wojnę, ale jak zwykle przerywamy, bo ciocia Jazia odmawia litanie i inne modlitwy, jak w niedzielę. Mamunia wzdycha i mówi swoje „Mój boże, bożyczku”, a potem, kiedy ciocia Jazia odmawia litanie, powtarza „Módl się za nami”.

21 sierpnia

Mam jeszcze drugą babcię. Nazywa się babunia Milunia. Ona jest mamą tatulka. Jej też dawno nie ma z nami. Mieszka na Marszałkowskiej w dużym, ciemnym pokoju. Mieszka w kamienicy zaraz za kościołem Zbawiciela. Do tego kościoła chodziliśmy z mamunią w każdą niedzielę. Ksiądz śpiewał *Peromnjasekulasekulum* i *Dominuswobiskum*, i jeszcze wiele innych rzeczy po łacinie, a ja to w domu powtarzałem. Tatulek chwalił, że dobrze naśladowę

księdza i że mam słuch. Teraz nie chodzimy do kościoła. I nikt nie śpiewa już po łacinie. Tylko wciąż wszyscy powtarzają „Módl się za nami” i „Pod Twoją obronę”. To jest litania do Matki Boskiej. Ale wojna wciąż trwa, bo prawie nie wychodzimy z piwnicy z powodu wybuchów i strzelaniny.

22 sierpnia

Wychodzę na chwilę na podwórko. W ścianie bez okien domu, który stoi tyłem do naszego podwórka, na wprost bramy, jest wielgachna dziura. Wielki pocisk, pewnie z krowy, przebił cały mur aż do sąsiedniej ulicy Skorupki. Tam byłem kiedyś z tatulkim w kinie. Teraz pocisk przeleciał pewnie nad naszym podwórkiem, bo trzecie piętro naszej kamienicy jest całkiem zburzone. Ale to chyba nie nasze mieszkanie, bo ono jest trochę z lewej strony, a gruzy są bardziej w środku. Znowu słyszać wybuchy, niektóre całkiem blisko, i dalej też. Uciekam do piwnicy. Idę tam, gdzie wczoraj gotowali zupę. Dzisiaj znowu coś gotują. Ładnie pachnie. Pani pyta, czy chcę trochę zupy, i od razu nalewa mi do metalowego kubeczka i daje łyżkę. Bardzo dobra zupa grochowa, z kartoflami. Dawno nie jadłem żadnej zupy. Mniam, mniam. Dziękuję i wracam do naszej piwniczki. Opowiadam, że dostałem kubek zupy, i że to chyba z RGO. Słyszałem o tym RGO od mamuni, że tam dają jeść głodnym ludziom. Więc myślę, że ta pani, co mi dała zupę, jest też z RGO, ale mamunia się uśmiecha i mówi, że to takie *moje* RGO, a nie to prawdziwe, które jest zupełnie gdzie indziej i tam teraz nie można chodzić. Nie wychodzę już na podwórko, bo znowu ryczy krowa i znowu słyszać bum, bum, ale daleko od nas. Coraz więcej ludzi chodzi po korytarzu od jednej dziury do drugiej. Przenoszą ze sobą różne toboły. Chyba nie będą siedzieć w naszej piwnicy, bo idą gdzieś dalej w kierunku ulicy Skorupki.

23 sierpnia

Trochę nudno. Prawie bez przerwy strzelanina i bomby. Zaryczała też krowa. Ale chyba się przyzwyczaiłem, bo już się tak nie boję. Dopiero jak jest chwila ciszy, to myślę, że może już się wojna skończyła. Wychodzę na podwórko, żeby zobaczyć, czy znowu nie latają nad nami jakieś samoloty. Ale nie dochodzę

do klatki schodowej w oficynie naprzeciwko, gdzie najlepiej widać. Widzę w bramie trochę ludzi z opaskami AK. Jeden pan w dziwnym mundurze, nie wiem, czy to żołnierz, czy harcerz, siedzi na schodkach do klatki schodowej, gdzie jest nasze mieszkanie, trzyma między nogami karabin i coś opowiada. Podchodzę tam blisko i słucham, ale nie rozumiem, o czym on mówi, tylko słyszę jakieś zagraniczne nazwiska i o czerwonych, że są blisko, za Wisłą. Ale nie wiem, co tam robią. Podchodzę całkiem blisko, a on do mnie mówi: „Cześć mały”. Ja się wpatruję w ten karabin, a on pyta: „Chcesz potrzymać?” i wyciąga do mnie karabin. Mam na górze w mieszkaniu małą strzelbę. Ale to jest zabawka. Ten karabin jest prawdziwy. Biorę obiema rękami i czuję, że jest bardzo ciężki, nie taki jak moja strzelba. Jest długi, większy ode mnie. Nie wiem, jak można z tego strzelać. Ale ten pan żołnierz jest wysoki i silny, więc pewnie umie strzelać bardzo dobrze. Jeszcze chwilę trzymam ten karabin i nie wiem, co mam dalej z nim robić. Pan mówi: „Nie bój się, nie jest naładowany”. Śmieje się głośno i zabiera karabin. Jeszcze chwilę kręcę się po bramie, ale oni wychodzą na ulicę. Wracam do piwnicy i chwalebę się cioci Jadzi, że trzymałem prawdziwy karabin. A ona mówi: „Nasz mały bohater”. Strasznie mnie to śmieszy. Przecież nawet nie strzelałem do szkopów ani oni do mnie. Znowu słysząc głośne wybuchy. Ciocia Jadzia usmażyła na oleju jakieś racuszki, ale niesmaczne, bo bez marmolady i bez cukru. Mamunia wraca późno i mówi, że martwi się, bo nie ma żadnych wiadomości od babci i dziadziusia ani od tatulka.

24 sierpnia

Blisko strzelanina i bardzo głośne wybuchy. Nie wychodzę z piwnicy. Słysząc bardzo nisko przelatujący ciężki samolot. Poznaje, że to bombowiec, bo jest bardzo ciężki. Ciężkie samoloty warczą grubym głosem i robią buuuuuuuuum bardzo wolno. Potem słysząc wybuchy bomb zupełnie niedaleko nas, ale chyba nie na nasz dom, bo się nie trzęsie. Potem już tylko wybuchy dalej i strzelanina z karabinów maszynowych. Salwy jedna za drugą. Ciocia Jadzia tak właśnie mówi, że to są salwy. Ze zwykłych karabinów są pojedyncze strzały, a z maszynowych są salwy, ale nie wiem, czy teraz słysząc salwy z naszych karabinów, czy ze szkopskich. Gramy z ciocią Jadzią i panią sąsiadką

w Czarnego Piotrusia. Mamunia gdzieś poszła i bardzo się martwię. Chciałbym, żeby szybko wróciła. Co chwila wychodzę na korytarz i patrzę na jedną dziurę, a potem na drugą. Ale mamuni nie ma. Ciocia Jadzia pokazuje mi, jak się robi ręką cienie na ścianie. Palce można tak układać, żeby pokazał się wilk albo kozioł, albo małpa. Można też odgrywać scenki jak w teatrze kukiełkowym, który kiedyś widziałem z mamunią. Wreszcie mamunia wraca cała szara od pyłu. Przyniosła jakąś mąkę i sucharki. Cieszę się, że już jest i zaraz kładę się spać, chociaż wybuchy i strzały wciąż słyszeć.

25 sierpnia

Okropna strzelanina i okropne wybuchy. Straszny wybuch bardzo blisko. Chyba coś walnęło w naszą kamienicę albo obok. Dym i smród jakby się coś paliło. Słyszę krzyki i jęki na korytarzu, więc wyglądam na korytarz. Przez dziurę od strony klatki schodowej przechodzi dużo ludzi do naszego korytarza. Niosą ze sobą różne toboły. Są pokryci szarym pyłem i mają przestraszone twarze. Chyba jakiś pocisk albo bomba trafiły w kamienicę obok. Stoją w korytarzu, ale robi się bardzo ciasno, jak w tramwaju. Nie ma miejsca, żeby usiąść gdzieś w tym naszym korytarzu. Więc zaczynają iść dalej, do następnej dziury, bo tam dalej jest następny dom i tamtędy czasem wychodzi mamunia, żeby coś „zadobyc”. Parę osób zostaje, ale mówią, żeby jednak uciekać, bo za chwilę i na nas może coś spaść. Ale gdzie uciekać? Nie wiem, co właściwie jest za tą drugą dziurą, przez którą niektórzy wychodzą. A tam też może spaść bomba albo pocisk z krowy czy armaty. Jednak nic nie spada. Ciocia Jadzia mówi *Pod Twoją Obronę*, a ja „Aniele Boży, Strózu mój, Ty zawsze przy mnie stój”. Tylko to powtarzam, bo resztę zapomniałem. Mamunia mówi dalej: „Rano, wieczór, we dnie w nocy...”. Może to pomaga, bo nie spada żadna bomba. Słyszę tylko huk trochę dalej i salwy raz bliżej, raz dalej ze wszystkich stron. Coraz większy smród spalenizny i pył przez okienko. Ciocia Jadzia zamyka to okienko, ale pył zostaje w piwnicy i nie wiadomo co z nim zrobić.

Idę do mojego RGO zobaczyć, czy nie ma jakiejś zupy. Ale nic nie gotują, a ja się boję zapytać. Przypomina mi się znowu zupa szczawiowa i jak mamunia zrobiła kiedyś galaretkę. Myślałem, że to taka z torebki, jaką

zawsze robiła na deser. Powiedziała, że zrobiła galaretkę i gdzieś poszła, a ciocia Jadzia była w kuchni. Mamunia postawiła galaretkę na piecu. Piec był zimny, bo na dworze było ciepło, więc galaretka mogła się zsiąść. Chciałem spróbować, więc podsunąłem do pieca krzesło i wlałem na nie. Galaretka była na jakimś talerzu czy czymś takim dużym i była przykryta papierem. Odchyliłem ten papier i trochę wziąłem, żeby spróbować, ale wcale nie była czerwona, tylko jakaś szara i dziwna. W ogóle nie była słodka, tylko słona. Jakieś paskudztwo. Nie wiedziałem, co z tym zrobić, więc zjadłem i nawet mi posmakowała. Mamunia wróciła, ale nic nie zauważyła. To zapytałem, co to za dziwna galaretka, że wcale niesłodka. A to była galaretka z nówek. Myślałem, że będzie bura, ale mamunia się tylko strasznie śmiała. Teraz bym zjadł taką galaretkę, ale nie ma. I zupy też nikt nie gotuje. Jest tylko kasza i sucharki z herbatką jabłkową. Nudne takie jedzenie. Nudno i spać się chce. Huki i strzelanina trochę dalej, więc wychodzę na podwórko i do bramy. Tam nikogo dziś nie ma. Wyglądam na ulicę, a tam trochę dalej barykada. Słyszałem o tych barykadach i teraz zobaczyłem prawdziwą barykadę z kamieni, cegieł i różnych innych trukszli. Ale nikt tam nie strzela. Nie wiem, kiedy i kto ją zbudował. Nie idę jednak zobaczyć z bliska, bo mamunia by się gniewała. Nie chwałę się nikomu, że widziałem barykadę. Budzę się w piwnicy.

26 sierpnia

Ciocia Jadzia gotuje zupę z brukwi i kartofli! Mamunia przyniosła to przez dziurę. Zupa pachnie ładnie. Potem ją jemy, ale jakoś mi nie smakuje. Ta grochówka w RGO była lepsza, tylko że tam już nic nie gotują. Na deser są sucharki z marmoladą. Mamunia przyniosła marmoladę. Dzisiaj koło nas trochę ciszej, ale z daleka słyszać wybuchy bomb i pocisków. Bliżej nas strzelanina. Chodzę trochę po podwórku, ale nic się nie dzieje. Sąsiadka stawia sobie pasjanse i nie chce grać ze mną w Czarnego Piotrusia, więc próbuję czytać *Dzieci Pana Majstra*, które mamunia przyniosła z góry. Coraz lepiej idzie mi to czytanie. Pomagam sobie *Zaczarowanymi literkami*. Może już niedługo się skończy to siedzenie w piwnicy i znowu pójdziemy na spacer do

parku Ujazdowskiego. Tam jest ścieżka koło parkanu, a po niej można wejść na taką małą górkę. Wtedy widać, co jest za tym parkanem. Jakies budynki. Mamunia mówiła, że tam są Niemcy. Że to jest ich jakiś urząd czy coś. Nie bardzo rozumiem, dlaczego mówi, że tam właśnie są Niemcy. Przecież oni są wszędzie, a my siedzimy w piwnicy, bo powstanie jest po to, żeby ich przegonić albo pozabijać. Chciałbym znowu pójść do tego parku, jak już ich nie będzie. Wieczorem ciocia Jadzia znowu mówi litanie do Matki Boskiej, a ja powtarzam „Módl się za nami”. Potem jeszcze śpiewamy *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Bardzo lubię to śpiewać, bo jest ładna melodia. Taka sama jak *Kiedy ranne wstają zorze*. To też lubię śpiewać. A czasem gram na organkach. Ale najlepiej lubię *Serce w plecaku*, chociaż tego się nie śpiewa w czasie modlenia się.

27 sierpnia

Codziennie rano i wieczorem mamunia każe mi myć zęby. Zęby myję szczoteczką i proszkiem. Nawet lubię to robić, ale teraz już nie ma proszku. No to tylko szoruję zęby szczotką byle jak i prędko, żeby popatrzeć w kalejdoskop. Zaraz trzeba znowu wracać do piwnicy. Może wyjdziemy w końcu z tej piwnicy. Mamunia „zadobyla” gdzieś trochę mąki i cukru, i kartofle, i marchewkę. Coś gotują z tego i będzie obiad. Nie lubię marchewki, ale jeść mi się chce i zjem bez grymaszenia. Przed zejściem do piwnicy, to znaczy przed powstaniem, kiedy nie chciałem jeść gotowanej marchewki, mamunia budowała z niej domek na moim talerzu i mówiła, że w nim mieszka baba-jaga i trzeba ją zjeść, żeby nie straszyla dzieci. Wcale nie wierzyłem, że tam ktoś jest w tej marchewce, ale jadłem za mamusię, za tatulka, za babcię, za dziadziusia, ale dalej już nie. Nawet za ciocię Jadzię. Ciocia Jadzia naprawdę nazywa się Jadwiga. Znam jeszcze jedną panią Jadwigę i na nią mówią czasem Jaga. Ale ona jest miła i nie przypomina baby-jagi z obrazków. Ciocia Jadzia nie lubi, żeby mówić o niej Jaga, bo trochę wygląda jak baba-jaga, ale pewnie nie chce mieszkać w domu z marchewki. Ja teraz zjem i marchewkę, i kartofle.

Bombardowanie i wybuchy, i strzelanina i bliżej, i dalej. Tylko co jakiś czas przerwa, a potem znowu.

28 sierpnia

Ciągły huk armat i strzelanina salwami. Teraz najgłośniejszy słychać z innej strony. Te wybuchy i strzelaniny zawsze są raz bliżej, raz dalej i z różnych kierunków. Mamunia mówi, że najwięcej strzelają na starówce i tam, gdzie jest Wytwórnia Papierów Wartościowych, gdzie pracuje dziadzius i gdzie z babcią Stasią mieszkają w pięknym mieszkaniu. Z okien widać Wisłę. Często tam byliśmy u nich. Dziadzius ma swój pokój, gdzie są same książki, i jak nie jest w pracy, to siedzi w tym pokoju i czyta te książki i kolorowymi ołówkami podkreśla różne wyrazy. Babcia się denerwuje czasem, że dziadzius wydaje za dużo pieniędzy na książki i ciągle znosi je do tego swojego pokoju, gdzie już nie ma miejsca na nic innego. Dziadzius ma też bardzo duży zbiór znaczków zagranicznych i wszystkie polskie znaczki.



Inżynier Jan Pretkiel w laboratorium PWPW

Ma te polskie, bo one są wydrukowane w tej właśnie Wytwórni, a dziadzius jest tam chemikiem. Dziadzius nikomu nie pokazuje tej swojej kolekcji, tylko czasem mnie wpuszcza do swojego pokoju, ale albumów ze

znaczkami nie pozwala mi dotykać. Tylko sam przewraca kartki i pokazuje mi różne znaczki zagraniczne i polskie. Teraz już się tych znaczków nie używa, bo na wszystkich znaczkach jest Hitler i dziwny napis „General Gouvernement”, to znaczy Generalna Gubernia. Sam odczytałem ten napis. Dawniej było napisane „Pocztą Polska”. A teraz ten dziwny napis. Tatulek powiedział kiedyś, że tak szkopy nazwały Warszawę i okolice, a stolica tej Guberni jest nie w Warszawie, tylko w Krakowie. Ale ja tego nie rozumiem. Polska to Polska i Warszawa to jej stolica. Kiedyś była w Krakowie. Ja to wiem, bo opowiadała mi o tym ciocia Jadzia. Tylko jeden król Zygmunt Waza przeniósł się z całym dworem do Warszawy i tak zostało, aż przyszli szkopi i wszystko poplątali. Polska to Polska, a jej stolica jest w Warszawie. To wszystko nazywa się okupacja niemiecka i może niedługo się skończy. Ale przed tym musi się skończyć powstanie i wojna, i szkopy pójdą sobie gdzie pieprz rośnie. Tak mówi ciągle ciocia Jadzia, ale mamunia jest smutna, bo nie wie, co się dzieje z tatulką i z babcią, i z dziadziusem. Może oni któregoś dnia do nas przyjdą?

29 sierpnia

Ciągle słyszeć bomby. Wybuchy pocisków są całkiem blisko. Od czasu do czasu ryczy krowa. Mamunia ciągle gdzieś chodzi przez dziurę i przynosi czasem chleb, a czasem jakieś buraki czy inne warzywa. Nie wiem, skąd ona to dostaje. Raz przyniosła trochę mleka od kozy, prawdziwej białej kozy. Kozy były w Żeraniu i tam też piłem kozie mleko. Nie bardzo lubię mleko, ale to kozie jest dobre, bo słodkie. Nie wiadomo, co z dziadziusem i babcią z Rybaków. Chciałbym, żeby byli z nami, a nie tam gdzieś na Rybakach, gdzie lecą bomby i wybuchają pociski jeszcze bardziej niż u nas. Dziadzius nauczył mnie kiedyś takiego wiersza, który sobie teraz przypomniałem i powtarzam: „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak Twój? Orzeł biały. Czym ta ziemia? Mą ojczyzną. Czym zdobyta? Krwią i blizną. Czy ja kochasz? Kocham szczerze. A w co wierzysz? W Polskę wierzę”. Ciocia Jadzia bardzo mnie chwali, że cały wierszyk umiem na pamięć. Poszedłem powiedzieć wierszyk pani sąsiadce i aż mnie pocałowała, tak jej się podobało, ale powiedziała, że trochę przekręciłem

ten wierszyk. A innym razem dziadzius mi pokazywał w swoim pokoju, jak się tańczy kankana. Okropnie śmieszenie zadzierał nogi, wysoko, raz jedną, raz drugą, i o mało się nie przewrócił. Nie ma tu dziadziusia i babci, ani drugiej babci, ani Munków, to znaczy stryjka Munka, który jest bratem tatulka, ani cioci Zosi, ani Zdzisia, Tadzia i Halusi. Nie wiem, gdzie oni wszyscy są i kiedy się zobaczymy.

Trochę ten wierszyk pokręciłem, a pani sąsiadka powiedziała, że musi być tak: „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały. Gdzie ty mieszkasz? Między swemi. W jakim kraju? W polskiej ziemi. Czym ta ziemia? Mą ojczyzną. Czym zdobyta? Krwią i blizną. Czy ją kochasz? Kocham szczerze. A w co wierzysz? W Polskę wierzę. Czym ty dla niej? Wdzięczne dziecię. Coś jej winien? Oddać życie”.

Ale to nie dziadzius mnie źle nauczył, tylko sam pokręciłem, więc nie ma co się chwalić. Teraz już będę mówił cały wierszyk tak jak trzeba.

30 sierpnia

Od rana pochmurno i potem pada deszcz. Mamunia z ciocią Jadzią łapią wodę do misek i garnków. Mówią, że w deszczówce dobrze myje się głowę. Ja to już wiem, bo w Żeraniu też wszyscy łapali wodę do mycia. Potem mamunia myje mi głowę. Nawet krowa nie przeszkadza, bo jakoś nie ryczy. Włosy mi rosną, ale nie za długie, bo ciągle mi je podstrzygają nożyczkami. Nie chodzimy do fryzjera ani do dentysty, który mieszkał na drugim piętrze na naszej klatce schodowej. Tam mamunia ciągała mnie po schodach w dół za ręce i nogi, bo strasznie nie lubiłem chodzić do dentysty, żeby mi wiercił w zębach okropną maszyną. Naciskał pedał i borował mi w zębach, a ja wrzeszczałem, zamykałem buzię i raz ugryzłem go w rękę. Mamunia mnie nauczyła, że jak zaboli, to mam powiedzieć „a” i on wtedy przestanie. Ale potem znowu zaczynał i ja znowu „a”, i tak w kółko. To „a” jakoś nie pomagało. Dlatego nienawidziłem tego dentysty, chociaż potem dostawałem cukierka. Ale ciocia Jadzia powiedziała, że od cukierków zrobią się nowe dziury i znowu będą mnie ciągnąć do dentysty, więc wcale nie chciałem tych cukierków, tylko żeby dali mi spokój. Do fryzjera lubiłem chodzić, bo tam

ładnie pachniało, a strzyżenie maszynką wcale nie bolało, włosy odrastały i bez cukierków. Teraz strzyże mnie ciocia Jadzia nożyczkami i też nie boli. Do dentysty nikt mnie nie ciągnie, bo mówią, że go tam nie ma, a klatka schodowa jest pełna gruzu. Nie wiem, jak wygląda nasze mieszkanie, bo tam nie mogę chodzić. Mamunia też myje głowę kawałkiem szarego mydła, które w ogóle nie pachnie, tylko śmierdzi. Potem śmiesznie wygląda w ręczniku na głowie, jak wylewa wodę z miski na trawnik. Ciekawe, czy ktoś będzie chciał mnie wykąpać. Mamy balię, ale nie ma ciepłej wody. Trzeba by długo grzać na naszej kozie. Mamunia mówi, że zarastam brudem. Ale już dawno nie było prawdziwej kąpieli, jak w każdą sobotę przed powstaniem.

31 sierpnia

Przyszła jakaś pani znajoma mamuni, chyba mieszka na tej klatce, skąd widać samoloty. Mamunia stawia jej kabałę. Tasuje karty i każe jej przełożyć. A potem układa jakieś dziwne figury, a w środku leży dama kierowa. To jest ta pani. Z tych figur mamunia opowiada o tej pani, co się ma jej zdarzyć. Mamunia często układa komuś kabałę, a czasem tylko sobie. Mnie nigdy nie układa kabały, tylko wiem, że ja jestem walet kierowy, bo jestem jeszcze niedorosły kawaler, i mam ciemne włosy, i nie jestem ani blondynem, ani brunetem, tylko „szatanem” czy „szatenem”. Niewiele rozumiem z tego wróżenia, bo mamunia powtarza to, co zawsze. Mniej więcej tak: „Widzę bruneta w średnim wieku koło pani. Będzie pani szczęśliwa. I niedługo będzie pani miała dużo pieniędzy”. Mamunia wie to wszystko z tego, jak się ułożyły karty. Ale ja nie wiem, dlaczego karty wiedzą i mamunia wie, co się ma zdarzyć. Pani jest zadowolona, dziękuje mamuni i idzie do siebie. Proszę mamunię, żeby mi też powróżyła, ale mamunia mówi, że to zabawa dla dorosłych i nie zawsze się sprawdza to, co mówią karty. Pani sąsiadka też bawi się kartami, ale sama ze sobą i nic nie mówi o żadnych brunetach. Ja najlepiej lubię Czarnego Piotrusia, ale nikt nie chce ze mną grać, bo już im się znudził. No to układam sobie swoją własną kabałę, ale to tylko zabawa w kabałę. Bawię się w zabawę dla dorosłych. Ha, ha, ha. Nawet nie wiem, co w tym ciekawego, bo tylko układam karty od Czarnego Piotrusia w takie figury jak w prawdziwej kabale i nic nie potrafię wyczytać

z tych kart. To już lepsza była zabawa w biuro, ale już nie mam tych papierów, które znalazłem na ulicy. Spaliły się w kozie, jak ciocia Jadzia gotowała kaszę. Jakoś mniej dzisiaj strzelają, ale z daleka słychać bomby i wybuchy.

1 września

Mamunia znowu stawia sobie kabałę. Mówi, że się martwi o tatulka i dziadziusiów. Tam, gdzie oni mieszkają, na Rybakach, najbardziej bombardują i strzelają, i szkopi zabili dużo ludzi. Podśluchałem, jak mamunia rozmawiała z panią sąsiadką. Ona się ciągle modli i też się martwi o kogoś, chyba swoją siostrę. Mamunia mówi, że dziś jest ważny dzień, bo pięć lat temu zaczęła się ta wielka wojna, zaraz potem, jak ja się urodziłem. Nic z tego nie pamiętam. Mamunia mówi, że wtedy najpierw mieszkaliśmy w tej oficynie, gdzie teraz siedzimy, ale nie w piwnicy, tylko w mieszkaniu na górze. Dopiero potem przeprowadziliśmy się na trzecie piętro od frontu. Ale tu, w tej oficynie miałem znajomą dziewczynkę, Jolę, z którą się często bawiłem. Przychodziłem do jej mieszkania i bawiliśmy się w Jezusa. Ja się kładłem na podłodze i rozciągałem ręce jak na krzyżu, a Jola była panią doktor i się do mnie modliła. Babcia tej Joli ciągle leżała na kanapie przykryta kocem, bo chorowała na serce. No to chcieliśmy ją wyleczyć z tej choroby. Ja się kładłem na podłodze na wznak i rozciągałem ręce, a Jola modliła się do mnie o zdrowie dla tej babci. Nie wiem, co się dzieje z Jolą i jej babcią. Tu w piwnicy ich nie ma. W ogóle nie ma bardzo dużo ludzi, którzy mieszkali w naszej kamienicy. Może gdzieś uciekli przed powstaniem. Za to jest dużo innych ludzi, nie wiadomo skąd.

2 września

Bomba spadła na naszą oficynę! Kurz pył i nie ma światła, bo nie ma prądu. Siedziałem u sąsiadki i patrzyłem, jak sobie stawia pasjansa. Nagle strasznie rąbnęło nad naszymi głowami, zgasło światło i na głowę posypały się z sufitu jakieś drobne kawałki cegły czy kamyków i cały pokryłem się kurzem. Jeszcze nigdy przedtem nie było takiego huku, aż się cały dom zatrzęsł. To się tak nagle stało, że nawet nie miałem czasu się przestraszyć. Zaraz przysła

mamunia, żeby zobaczyć, czy nic się mi nie stało. Dopiero wtedy zacząłem płakać, bo się bałem, że nam się cały dom zawali na głowę. Ale jakoś się nie zawalił i wszystko się uspokoiło i ucichło. Wybuchy słyhać, ale już trochę ciszej. Nie ma światła i musimy siedzieć przy świeczce. Potem mamunia rozpałała karbidówkę. To taka metalowa puszka z płomykiem na górze. Świeci i trochę grzeje. Okropnie śmierdzi.

3 września

Wyszedłem z piwnicy na podwórko. Całe trzecie piętro naszej oficyny jest w gruzach, ale dom stoi i niższe piętra są całe, tylko szyby powypadały. Teraz nad nami nic już nie lata i jest spokojnie. Nie wyje syrena na alarm, no to idę na klatkę po drugiej stronie, zobaczyć, jak gdzieś dalej latają samoloty, z których wylatują bomby. Z tamtej klatki widać duży kawałek nieba. Już widziałem bombardowanie w zeszłym tygodniu, czy trochę wcześniej. Z daleka bombardowanie wygląda trochę śmiesznie. Z samolocików wypadają małe bombki. Ale za kilka chwil jest straszny huk i wiadomo, że te bombki to prawdziwe bomby, takie jak ta, która spadła na nasz dom. Ale dzisiaj te huki słyhać nie całkiem blisko, tylko troszeczkę dalej, a samolotów jakoś nie widać. Może latają niżej, bo jest pochmurno. Tylko zza naszej oficyny widać dużo dymu i nic więcej. Więc schodzę do bramy. W bramie pan akowiec z białą-czerwoną opaską czyta wiadomości. Już wiem, że to, co czyta, to bibuła, bo tak się nazywa polska gazeta, a nie szkopska gadzinówka. Ale nie wiem, o czym czyta, bo znowu jest dużo zagranicznych wyrazów i nie wiem, co to jest „ruzwelt” i „czurczel”, czy coś takiego. Potem już wiem, że czyta o polskim wojsku, które już walczy ze szkopami i będzie nam pomagać, i już pomogło. Nie bardzo zrozumiałem, tyle tylko, że czerwona armia i polskie wojsko jest za Wisłą. Ale ja nigdy nie widziałem polskiego wojska w eleganckich mundurach, takich jak mają szkopy albo ołowiane żołnierzyki, które zostały na górze. Nasi akowcy, co przychodzą do bramy, nie mają jednakowych mundurów ani czapek. Przed powstaniem często widziałem na ulicy wojsko niemieckie, jak żołnierze szli trójkami i cały czas śpiewali w kółko „hajli, hajlo, hajla”. Nie wiem, co

to znaczy i dlaczego nic innego nie umieją śpiewać, tylko w kółko to „hajli, hajlo, hajla”. Nigdy im się nie nudzi to śpiewanie w kółko. Ale bez tego nie maszerują. Ta ich piosenka jest wstrętna. Ale szkopy nie umieją śpiewać po polsku i dlatego nie śpiewają *Serca w plecaku* ani *O mój rozmarynie*. Szkopi nie umieliby zaśpiewać „Hop sztynder Madaliński, fika z góry ta, szwydrydy szaraciuchciuch, z Barabaszem mazura”. Tak śpiewa czasem babunia Milunia. Szkopy tak nie umieją, tylko ciągle te swoje „hajli, hajlo, hajla”. Cały czas słyszeć bomby od prawej strony Marszałkowskiej. Słyszeć krowę, ale wybuchy gdzieś dalej.

4 września

Zamiast dziadziusia Jasia i babci Stasi są Munkowie! Mamunia mówi, że przyszli zaraz na drugi czy trzeci dzień po wybuchu powstania, tylko ja nic nie wiedziałem. Siedzą w piwnicy na oficynie po drugiej stronie podwórka. Mamunia ciągle się martwi, że nic nie wiadomo o dziadziusiu i babusi. Poszła na podwórkę do bramy, bo tam czasem przychodzi ktoś z wiadomościami, ale zaraz wraca i mówi, że nic nie wiadomo. Munkowie – to jest stryjek Munek (Erazm) z ciocią Zosią i dziećmi, i chyba z babunią Milunią. Uciekli ze spalonej kamienicy i nie mają co jeść. Ich dzieci to Zdzisio i Tadzio, starsi ode mnie. Ich tam w ogóle nie ma, bo chyba coś robią na poczcie harcerskiej. Mamunia mówi, że pewnie zjedzą resztę mąki i cukru. Weszli wszyscy do piwnicy w tej klatce, skąd widać samoloty, bo w naszej piwnicy nie ma już miejsca na korytarzu. Ale mamunia mówi, że bym tam nie chodził i że bym w ogóle już nie wychodził z piwnicy, bo podobno mają być znowu okropne bombardowania. Szkopi zniszczyli i spalili już kompletnie Stare i Nowe Miasto i inne części Śródmieścia, to teraz pewnie wezmą się za nas. Ale co się stało z dziadziusiem i babcią Stasią??? Nie ma też cioci Heli ani wujka Czesia, ani ich dzieci, Stasia i Kiki. Wszyscy byli w Wytwórni na Rybakach. Ale jak wszystko szkopi zbombardowali, to co się z nimi stało? Mamunia mówi, że Munkowie też nie wiedzą. Tatulek nie daje znaku życia. Mamunia strasznie się zamartwia. Ja też się martwię. Ale jeść mi się chce, a tu tylko oładki z marmoladą i herbata z jabłek. Moje RGO już nie gotuje żadnych zup.

5 września

Może już niedługo skończy się to powstanie i wyjdziemy z piwnicy. Coraz więcej ludzi chodzi po korytarzu. Ludzie z dziećmi takimi jak ja i z tobołami ciągle przechodzą przez dziurę od strony Kruczej i potem gdzieś wychodzą, albo przez bramę, albo przez drugą dziurę do Marszałkowskiej. U nas nie zostają, bo już nie ma miejsca. Ktoś mówił, że oni nie bardzo wiedzą, dokąd iść, bo ich domy są całkiem spalone i zburzone i nie mają nawet piwnic, tylko same gruzy. Nie wiadomo dokąd oni tak idą. Cały czas słysząc okropne huki i wybuchy. Oni chyba uciekają od tych wybuchów, ale tutaj blisko jest strzelanina i serie z karabinów maszynowych, więc chyba oni tam nie pójda, bo ich zabiją. Nie ma światła, tylko ta śmierdząca karbidówka. Mamunia przyniosła wodę w kuble. Wielkiego mycia nie będzie, ale będzie herbatka z obierek jabłkowych i okropny kleik z jęczmienia czy czegoś, co mamunia przytargała w worku. Ale to jest wstrętne i brzydko pachnie! Na podwórku znowu ktoś mówił o jakimś „Czerczilu” i „Ruzwolicie”. Najpierw myślałem, że to jakieś diabły, ale potem powiedzieli mi, że to ważni prezydenci, z Ameryki i Anglii, i że będą nam pomagać i wyzwalać od szkopów i Ruskich. Ale na podwórku jacyś inni ludzie mówią, że Ruscy też nas będą wyzwalać. Ale nikt nas nie wyzwala i dalej siedzimy w piwnicy, tylko znowu słyszałem, jak na podwórku powtarzają: „Sacharyna, sacharyna, strzela Hitler do Stalina, strzela Stalin do Hitlera, będzie Polska jak cholera”. Ładny wierszyk, ale chyba nic dobrego nie znaczy.

6 września

Pytam mamunię, kiedy się skończy to powstanie i kiedy wyjdziemy z piwnicy. Mamunia nie wie, ale mówi, że chyba już niedługo. To pytam, dlaczego nie postawi kabały, żeby zobaczyć, co jest w kartach. Mamunia nie chce stawiać kabały, bo ostatnio wyczytała tam coś niedobrego, ale nie chce powiedzieć co. Mamunia jest coraz bardziej smutna i ciocia Jadzia też. To powstanie chyba nigdy się nie skończy i będziemy tu siedzieć, aż przyjdą szkopy albo Ukraińce i nas zabiją. O Ukraińcach usłyszałem na podwórku, że są jeszcze gorsi od

szkopów i że rozbijają ludziom głowy o ścianę i zarzynają nożami i wypruwają flaki. Ja widziałem, jak mamunia wypruła flaki kurze. Bo my kiedyś mieliśmy żywą kurę w kuchni, w kojcu. Mamunia ją najpierw karmiła, a kura zniosła parę jajek, aż kiedyś przyszła dozorczyńni i ją gdzieś zabrała. Kiedy wróciła z tą kurą, to ta kura już była bez głowy i całkiem zdechnięta. Mamunia wyjęła z niej flaki i Dyzio Mamrot je zeżał. Potem jeszcze mieliśmy gęś. Mamunia wypychała jej kluski do gardła, żeby ją utuczyć. Potem gęś znikła. Nie wiem, co się z nią stało, ale nie widziałem, czy pani dozorczyńni przyniosła zabłądzonego gęś bez głowy. Teraz myślę, że pewnie jednak ją zjedliśmy, a pani dozorczyńni przyniosła ją do nas, kiedy byłem z mamunią na spacerze. Może ciocia Jadzia wypruła jej flaki. Wolę o tym wszystkim nie myśleć, bo pojedę do rygi. Tylko tak sobie przypomniałem, kiedy usłyszałem o tych Ukraińcach. Czy oni potem jedzą tych zabitych ludzi? Brrr. Fu.

7 września

Śniło mi się, że jadłem biały ser, który wypadł krukowi z dzioba. O tym kuku z serem w dziobie było w bajce. Czytała mi ją ciocia Jadzia. Przyszedł do niego lis i odebrał mu ser. A teraz mi się ten ser śnił i bardzo mi smakował, ale się obudziłem i żadnego sera nie ma. Mamunia przynosiła taki ser od pana Drobota i lubiłem go jeść z razowym chlebkiem i pomidorkiem. Wyszedłem na podwórko, żeby zrobić siusiu, a potem poszedłem do bramy i wyjrzałem na ulicę. Było pusto i spokojnie, więc wyszedłem przed bramę zobaczyć, czy może Pan Drobot już wrócił i sprzedaje ser, banany z cukru, owoce albo chociaż marmoladę. Na schodkach do jego sklepu leży pełno gruzu, że zejść w dół nie można, i widać, że nie ma tam nikogo i nic nie można dostać. Mleka też dawno nie piłem ani kakao, tylko ta herbatka z jabłek i czasem kawa zbożowa, jak mamunia przyniesie. Codziennie tylko kleik z ziaren, aż mi się chce jechać do rygi. Teraz znowu cały czas słyszeć bomby i wystrzały i cały czas wchodzi przez dziurę na korytarz jacyś nowi ludzie z tobołkami i walizkami, ale zaraz wychodzą gdzieś przez podwórko i idą nie wiadomo dokąd. Mamunia mówi, że

w naszym mieszkaniu jest dziura w dachu i widać przez nią niebo, ale nie mogę tam pójść popatrzeć na samoloty.

8 września

Od rana cisza. Nie słysząc wybuchów. Mamunia mówi, że w bramie rozdają jakieś ulotki. Może to już koniec wojny i powstania? Może wyjdziemy z piwnicy? Mamunia poszła i zaraz wróciła. Mówi, że nie ma już tych ulotek, bo ludzie wzięli. Pani dozorczyńni powiedziała, że wojna wcale się nie skończyła, tylko szkopy chcą, żebyśmy wyszli z Warszawy, i dlatego nie strzelają do nas. Mamunia mówi, że nigdzie nie pójdziemy, bo nie mamy dokąd. Nikt nie wie, co się dzieje z babcią Stasią i dziadziusem, ani z tatułkiem. Dlatego nigdzie nie pójdziemy, bo całkiem się pogubimy. Mamunia mówi, że Munkowie też nigdzie się nie wybierają. Więc będziemy dalej siedzieć w tej piwnicy i czekać, czy teraz nas szkopy spalą i zbombardują, czy co będzie. Oni mają takie armaty do podpalania domów. Nazywa się to miotacze ognia. Mogą nas w każdej chwili podpalić. A może przyjdą ci Amerykanie czy Anglicy albo kacapy? Znowu zaczyna się strzelanina i najpierw dalej, a potem całkiem blisko słysząc bomby. Mamunia z ciocią Jadzią znowu zaczynają litanie do Matki Boskiej, a ja powtarzam „Módl się za nami”. Potem wszyscy jeszcze mówią *Pod Twoją Obronę*, a ja jeszcze *Aniele Boży, Stróżu mój*. Najbardziej lubię tę modlitwę, bo wiem, jak ten anioł wygląda. Wisiał nad moim łóżkiem, i pewnie jeszcze wisi, bo tu go nie ma. To był tylko jego obrazek. Naprawdę to on jest w niebie i pilnuje, żeby nic mi się nie stało, ani mamuni, ani cioci Jadzi, ani nikomu. Mój anioł prosi innych aniołów stróżów, żeby pilnowali nas wszystkich. Jest jeszcze oko, które patrzy na nas. Oko czegoś tam, ale nie pamiętam tego wyrazu. Wiem, jak to oko wygląda, bo widziałem na świętym obrazku w świętej książeczce do nabożeństwa. Mamunia czyta z niej litanie. Dostała ją od dziadziusia i cały czas się z niej modli. Ciocia Jadzia mówi, że chyba zwariuje, jak ta wojna potrwa jeszcze parę dni dłużej, ale nie chce grać ze mną w Czarnego Piotrusia ani robić kocięj kołyski ze sznurka. Cały czas słysząc bombardowanie, całkiem blisko. Czekamy, kiedy znowu spadnie na nas bomba. Ale nic nie spada. Może anioł stróż nie pozwolił.

9 września

Rano jest cicho. Nie słysząc żadnej strzelaniny ani bomb. Czytam *Dzieci Pana Majstra*. Nazywam to moim *Przeminęło z wiatrem*. Ta bajka to pewnie całkiem coś innego od książki mamuni. Mamunia bardzo lubi czytać to swoje *Przeminęło z wiatrem*. Bardzo się wzrusza. A ja lubię czytać tę moją bajkę, i dlatego tak ją nazwałem. Nic tam nie ma o żadnej wojnie, tylko o dzieciach i dużej rodzinie. Też chciałbym mieć braciszka albo siostrzyczkę, ale mam tylko cioteczne rodzeństwo. Oni są nie wiadomo gdzie i nie mogę z nimi porozmawiać ani się bawić. Chciałbym pójść znowu do parku Ujazdowskiego i bawić się ze Stasiem i Halusią. Teraz znowu strzelanina i bomby. To gdzieś blisko nas, po lewej stronie od bramy. Tam jest ulica Krucza, a dalej Aleje Ujazdowskie, gdzie z mamunią zawsze chodzimy... chodziliśmy... do parku. Nawet mam zdjęcia ze Stasiem (Lechem) i Halusią (Krzeszowską), jak stoimy nad stawem. Na zdjęciu mamy chyba dwa albo trzy lata. Teraz mamy po pięć lat, bo urodziliśmy się w roku 1939, ale Halusia jest najstarsza, bo się urodziła w lutym 1939, a Stasio najmłodszy, z sierpnia. Ja jestem w środku, z czerwca. Ale teraz nie można pójść do parku. Z tamtej strony słysząc te wybuchy i strzały.

W bramie mówili, że może już niedługo się skończy powstanie i będzie można wyjść z piwnicy. Najlepiej byłoby, żeby szkopy poszły sobie albo żeby ich pozabijać. Ale ich jest bardzo dużo i mają więcej armat i bomb i jeszcze wojna trwa i nie wiadomo kiedy się skończy. A do naszego mieszkania pewnie nie wrócimy, bo tam jest dziura w suficie i nie ma szyb w oknach. Tak powiedziała mamunia, bo tam chodziła parę razy po różne potrzebne rzeczy. Tylko jeść nie ma co, bo już chleba nie ma i zostało trochę cukru i ciągle te jakieś kasze. Zjadłbym barszczyku czerwonego z kartofelkami, takiego dobrego, jak gotuje mamunia. Jest kilka kartofli, bo je mamunia przyniosła przez dziurę, ale nie ma buraków na barszczyk. Ani nie ma szczawiu, ani jajka na twardo, żeby ugotować zupę szczawiową. Też ją bardzo lubię. Wszystko lubię, tylko nie tę ohydłą kaszę z nie wiadomo czego.



Kapitan Czesław Lech „Biały”

10 września

Ciocia Jadzia jest bardzo stara, ma chyba czterdzieści lat albo i więcej. Ciągłe mówi, że już nie wytrzyma tej wojny i nie dożyje końca. Jest chuda, ma druciane okrągłe okulary i lubi pić dziurawiec i jeść pomadki, ale chyba już to mówiłem. Cioci Jadzi brakuje tego dziurawca i tych pomadek. Mamunia częściej teraz mówi: „Mój boże, bożyczku”. Mamunia ma dopiero 28 lat, to jeszcze nie jest taka stara. Ja bym chciał już być dorosły. Poszedłbym z tatulkiem i teraz wiedziałbym, jak on się czuje, i dał znać mamuni, żeby się tak

nie martwiła. Żadnych wiadomości nie ma od nikogo. Siedzimy w tej piwnicy i słyszymy, jak wałą bomby i pociski, ale szkopy tu nie przychodzą. W bramie powiedzieli, że tu, gdzie jesteśmy, szkopów nie ma, tylko sami akowcy walczą na ulicach i bronią nas przed szkopami, a my siedzimy schowani w piwnicach. W innych miejscach Warszawy jest jeszcze gorzej, a do nas nie przychodzą ani szkopy, ani Ukraińcy. Ale może przyjdą? Od czasu do czasu ryczy krowa, ale bomby już na nas nie lecą. Poszedłem znowu na klatkę schodową naprzeciwko i zobaczyłem kilka samolotów – latały nie prosto, tylko raz wyżej, raz niżej, i wypuszczały małe ogniki, to w jedną, to w drugą stronę. Jeden samolot zapalił się od tego ognika i zaczął dymić, a potem szybko poleciał w dół i już go nie było widać za dachem naszej oficyny. Wcale się nie bałem, bo to wszystko się działo wysoko i z boku i nie zrzucały te samoloty bomb, tylko do siebie strzelały. Potem w bramie powiedzieli, że kacapy są już blisko i że pewnie niedługo tu będą, a te samoloty to też były ruskie i strzelały do niemieckich. Ale nie wiem, czy ten, co spadł, był ruski czy niemiecki. Potem znowu słychać było wybuchy, już całkiem blisko, i znowu zaryczała krowa, więc szybko wróciłem do piwnicy. Nie ma światła i nie ma się z kim bawić. Mam już dosyć tej piwnicy. Chciałbym wyjść na ulicę i zobaczyć, co się dzieje na Marszałkowskiej, bo z tamtej strony słychać te wybuchy pocisków, ale nie wolno mi.

11 września

Mamunia powiedziała, że w bramie powiedzieli, że niedługo przyjdą kacapy i skończy się powstanie i wyjedziemy z piwnicy. Teraz musimy tu jeszcze siedzieć. Nie wiadomo kiedy przyjdą, czy jutro, czy pojutrze. Dzisiaj jest trochę ciszej, ale słychać wybuchy gdzieś dalej, z różnych stron. Śpiewam sobie: „Siekiera, motyka, piłka, alas, przegra wojnę głupi malarz”, ale nie wiem, co to jest ten alas, aż ciocia Jadzia mówi, że to taka wódka z piołunu, a piołun to takie ziółko podobne do dziurawca, tylko bardzo gorzkie. Pewnie ciocia Jadzia wypijała nawet tego alasza, ale i tak nie ma pomadek. Więc wymyśliłem taką nową zwrotkę: „Siekiera, motyka i dziurawiec, przegra wojnę głupi wszawiec”. Mamunia pyta, skąd ja znam słowo „wszawiec”. Nie wiem, chyba słyszałem na podwórku, ale jeszcze przed powstaniem. Chyba to brzydkie

słowo, bo jak ciocia Jadzia mnie strzyże, to zawsze dokładnie ogląda mi głowę i mówi: „Patrzę, czy on aby nie ma wszy”. Nie wiem, jak wyglądają te wszy, ale widziałem kiedyś pluskwę. Więc śpiewam następną zwrotkę: „Siekiera, motyka, pluskwa, mak, niech Hitlera trafi szlag”. Ale znowu nie wiem, co to jest ten „szlag”. Chyba coś pokręciłem, ale śpiewa się dobrze. Mamunia przyniosła prawdziwy chleb i marmoladę, taką, jaka była u pana Drobota. Pychota, bo na te kleiki z jęczmienia nie mogę już patrzeć. Była też czarna kawa z prawdziwym cukrem. Mamunia to wszystko gdzieś „organizuje” albo „zadobywa”. Dawniej kupowała w sklepie, a teraz „zadobywa”. Mamunia codziennie organizuje jeden kubeł wody i mówi, że musi starczyć i do picia, i do mycia. Trochę śmieszne to „i do picia, i do mycia”. Teraz powtarzam to w kółko.

12 września

Dzisiaj znowu cisza. Na podwórku i w bramie mówią, że Ruskie są za Wisłą i że z nimi jest też polskie wojsko i że niedługo przejdą Wisłę i przegonią szkopów. Ale tutaj jakoś nic się nie dzieje. Jemy znowu ten okropny kleik i suchary z ciemnego chleba rozmoczone w gorącej wodzie. Nie ma już marmolady. Dawno nie ma żadnej zupy, nawet jarzynowej. Fela gotowała babci i dziadziusiowi taką zupę, ale on grymasił, że nie lubi farfocli w zupie i wyjmował je łyżką i kładł obok talerza na serwetce: pietruszkę, seler i różne inne farfocle. On tak mówił na te różne rzeczy w zupie jarzynowej, których nie lubił i które wyjmował z tej zupy. Bo lubił tylko kartofle i marchewkę, a babcia lubiła wszystko. Ta Fela to była ich dziewczyna „na przychodne”, i im sprzątała i gotowała, a wcale nie umiała czytać ani pisać. Dziadzius chciał ją nauczyć, ale ona nie chciała czytać, bo mówiła, że i tak umie gotować bez żadnego czytania. Fela musiała gotować czasem zupę jarzynową, bo babcia ją lubiła, a dziadzius nie. Męczył się, jak ją jadł, i coś mruczał pod nosem.

Wieczorem wychodzę z mamunią na podwórko na świeże powietrze, bo w piwnicy duszno i strasznie śmierdzi karbidówką. Tylko daleko słychać wybuchy. Wychodzimy nawet na ulicę, a tam widać kawał nieba od strony ulicy Marszałkowskiej i dalej w prawo. Całe niebo jest czerwone. „To jest luna – mówi mamunia – to palą się domy od bomb zapalających”. Dobrze, że nasz

dom się nie pali. Na naszej ulicy Wilczej jest pusto, nie ma nikogo. Jeszcze chwilę stoimy na ulicy, ale nie idziemy dalej do Marszałkowskiej, bo mamunia się boi, że nam się coś może stać. W nocy nie mogę spać, bo duszno i słyszę te wybuchy raz bliżej, raz dalej i wyobrażam sobie to czerwone niebo.

13 września

Chyba przespałem cały dzień. Nie wiem, co się dzieje, bo już dawno nie było tak cicho. Tylko z daleka słychać strzały i wybuchy. Może już niedługo wyjdziemy. Mamunia „zadobyła” gdzieś jabłka i trochę maki i ciocia Jadzia smaży na kolację placuszki z jabłkami na oleju. Dawno nie jadłem jabłek. Skórek na herbatkę też już nie ma, ale teraz będą, bo ciocia Jadzia obrała jabłka ze skórki. Jedno zjadłem na surowo, mamunia z ciocią zjadła drugie. I jeszcze trzy zostały do placuszków. Kwaśne te jabłka, ale i tak mi smakują.

14 września

Nie wiem, co mam robić. Wszystkim się znudził i Czarny Piotruś, i ta głupia gra w wojnę. Tego siedzenia w piwnicy już też nie można wytrzymać. Na ulicę nie mogę wychodzić. Do bramy też już prawie nikt nie przychodzi. Strzelają cały dzień, ale gdzieś daleko. Chciałbym już wrócić do mieszkania, ale tam nie można, i ta dziura w dachu. Ale mamunia przyniosła mi z góry „Słonko”. To taka gazetka, pismo dla dzieci. Tam są różne śmieszne wierszyki i czytanki-rymowanki. Jedna jest o tym, że Agata nogą zamiata albo o tym, jak jakiś chłopiec trafił do krainy śpiochów, a tam jemu zachciało się jeść, jak już się wyspał. To mu powiedzieli: „Tutaj śpi się, a nie jada”. Takie głupie dosyć czytanki, ale śmieszne. Ja bym wolał trafić do krainy, gdzie się jada, bo snu mam dosyć, nawet wybuchy mi nie przeszkadzają, bo się przyzwyczailem. No to czytam sobie „Słonko”. To jest bardzo gruba książka, w twardej zielonej oprawie, cały rocznik wszystkich numerów. Dostałem w prezencie od pana Józefa Włodarskiego, który wydaje to pismo dla dzieci. Państwo Włodarscy mieszkają na ulicy Świętokrzyskiej. Żona pana Józefa, pani Maria, jest bardzo wielką czyścioszką. Bez przerwy coś odkurza, zamiata i sprząta, więc u nich nie ma żadnych dukci pod łóżkiem. Byłem parę razy u nich

z mamunią. Mają śmieszne mieszkanie, bo ze schodów wchodzi się od razu do kuchni, a dopiero potem do pokoju. Pani Maria chyba mnie nie bardzo lubi, bo kiedyś poszedłem do tego pokoju sam, kiedy mamunia rozmawiała z panią Włodarską w tej ich kuchni. Zobaczyłem, że tam jest pianino. Wiedziałem, co to jest, bo takie samo pianino było u cioci Heli na Rybakach. Jak zobaczyłem to pianino, to otworzyłem je i zacząłem coś brzdąkać, bo nie umiem grać na pianinie, tylko na cymbałkach i organkach. Ale gdybym mógł dłużej poprobować, może coś by mi się udało zagrać jednym palcem. Zacząłem stukać *Jeszcze Polska nie zginęła*, bo to umiałem już grać na cymbałkach. Pani Maria bardzo się zdenerwowała i kazała mi przestać, a pianino zamknęła na klucz. Mamunia mówi, że ulica Świętokrzyska jest cała w gruzach, a mieszkania państwa Włodarskich już nie ma. Nie wiadomo, gdzie oni są. Może jeszcze żyją, a może nie. Może gdzieś uciekli albo Niemcy wywieźli ich do obozu. Nikt nie wie, co się z kim dzieje. Od tatulka ani z Rybaków też nie ma wiadomości. Może ich gdzieś wywieźli. Mamunia nic nie mówi, tylko jest smutna i już nie stawia nawet kabały. Może już niedługo się to wszystko skończy i wtedy wszyscy się znowu spotkamy.

15 września

Z daleka wybuchy i wystrzały. Ale tutaj cicho. Dużo ludzi siedzi z tobołami na korytarzu. W naszej piwniczce nie ma miejsca, więc leżą na korytarzu na kocach. Żeby wyjść na podwórko, trzeba przeproszać, że się przez nich przechodzi. Oni są brudni i źli, że im nie dajemy spać. A mnie śnili się dzisiaj Niemcy, jak biegali po ulicy z karabinami, a ja przed nimi uciekałem. To była chyba łapanka. Przypomniałem sobie, jak kiedyś uciekałem z mamulką do bramy, bo zajechała buda i motocykle z koszami i Niemcy zaganiali ludzi z ulicy do tej budy. Ale nam udało się schować do bramy, bo mamunia wcześniej zobaczyła tę budę i zaraz uciekliśmy w drugą stronę i nic nam się nie stało. Nie pamiętam, jak wróciliśmy do domu na Wilczą, ale tatulek bardzo się zdenerwował i nawet krzyczał, żebyśmy nie łazili po ulicy. Teraz nie ma tu szkopów, ale za to śnią mi się po nocach. W bramie znów byli powstańcy z karabinem i czytali jakiś komunikat. Ale zanim podszedłem bliżej, skończyli czytanie. Ludzie mówili, że już niedługo się skończy powstanie, bo Ruscy

i polskie wojsko już są blisko, po drugiej stronie Wisły, i zaraz tu będą. Ciocia Jadzia się cieszy i modli się i dziękuje Bozi. Żeby tylko tatulek już wrócił. Ja chyba już jestem trochę brudny, bo już kilka dni nie ma wody do mycia, bo trzeba pić, więc myję tylko ręce i trochę buzię. A ciocia Jadzia szoruje się piaskiem z wodą w małym kubeczku! To najlepszy sposób, bo niepotrzebne jest mydło. Proszku do zębów już też dawno nie ma.

16 września

Cały dzień w piwniczce. Na korytarzu tłok. Ciemno, bo trzeba oszczędzać karbid. Huki i wybuchy bardzo blisko. Miało się skończyć to wszystko, a tu wałą bombami i z armat aż duszno od pyłu. Nie ma nic do jedzenia, tylko znowu ten wstrętny kleik, bo mamunia nigdzie dzisiaj nie poszła. Siedzimy na siennikach, a ciocia Jadzia głośno odmawia litanie. Chyba znowu spadnie na nas jakaś bomba. Czuć, jakby się coś paliło, a na korytarzu ludzie jęczą i płaczą. Nie można wyjść nawet na podwórko, bo a nuż spadnie jaka bomba. W końcu mamunia zapala karbidówkę, żeby rozpalić kozę i zagrzać wody na herbatkę z łupin. Są jeszcze dwa jabłka, nie wiadomo skąd się wzięły. Z nich będą łupiny. Ciocia Jadzia obiera je i daje mi całe jabłko, żebym sobie zjadł. Nie wiadomo, jak podzielić dwa jabłka na trzy osoby, żeby było po równo. W nocy prawie nie śpię, bo słyhać straszne huki. Jest bardzo duszno, bo zatkały okienko szmatami, bo wchodził przez nie dym, ale trochę zimno, bo koza już się nie pali. Nie ma Dyzia Mamrota, bo by mnie ogrzał. Mamunia dotyka mnie w czoło i mówi, że pewnie mam gorączkę i że się pewnie przeziębilem. Mamunia przykryła mnie derką i trochę pospałem do rana. Ale nic mi się nie śniło.

17 września

W kalejdoskopie prawie nic nie widać, bo przy karbidówce zamiast kolorowych układanek jest szaro. Na podwórku też jest szaro i dym i śmierdzi spalenizną. Wybuchy i strzelanina gdzieś dalej, i dlatego mamunia pozwoliła mi wyjść z ciocią Jadzią na podwórko. W bramie jest jeden akowiec i trochę ludzi. Znowu coś czytają głośno. Nie rozumiem co, ale ciocia Jadzia mówi, że

już niedługo będzie koniec, bo idą nasi i czerwone wojsko, że przeszli Wisłę, że szkopy się boją. Ciocia Jadzia mówi „Dzięki Bogu”. Może nareszcie wróci tatulek i znowu pojedziemy razem na rowerze. Tatulek jeździł ze mną nad Wisłą, tatulek pedałowal na siodełku, a ja siedziałem na ramie. Jeździliśmy daleko, aż na drugi brzeg Wisły, w kierunku Żerania. Raz wsadziłem nogę w szprychy i strasznie wrzeszczałem, bo się pokaleczyłem. Tatulek okropnie się zdenerwował i czym prędzej wracaliśmy do domu, a tatulek pedałowal z całych sił. On był ryksiarzem i umiał szybko jeździć, więc zaraz wróciliśmy do domu. Zaniósł mnie na rękach do mieszkania na trzecie piętro. Mamunia też coś krzyczała, ale w końcu nic mi się nie stało, tylko chodziłem z bandażem na nodze przez parę dni. Ja też miałem rowerek na trzech kółkach. Rowerek stał w garażu. Powiedziałem cioci Jadzi, że chciałbym sobie teraz pojeździć po podwórku. No to poszliśmy do garażu zobaczyć, czy jest tam ten rowerek i ryksza tatulka, ale drzwi były zamknięte na kłódkę i nie było klucza. Mamunia nie wiedziała, gdzie jest ten klucz. Może tatulek go zabrał ze sobą. Jak wróci, to otworzymy garaż i będziemy znowu jeździli na rowerze i na rykszy i pojedziemy nad Wisłę i do Żerania kolejką. Mamunia powiedziała, że i tak już jestem za duży, żeby jeździć na takim małym rowerku na trzech kółkach i że po wojnie kupię mi większy, prawdziwy rower na dwóch kołach. A może pojedziemy prawdziwą koleją aż do Zakopanego. Tam są wielkie góry. Jeszcze nigdy nie jeździłem dużą koleją i nie widziałem wielkich gór. Jak już będzie można chodzić i jeździć po ulicy, to wszyscy razem pojedziemy do Zakopanego zobaczyć te wielkie góry, i znowu będę mógł jeść cukrowe banany od pana Drobota. Tylko niech już się to wszystko skończy. Ale znowu strzelają i znowu słysząc wybuchy coraz bliżej i trzeba wracać do ciemnej piwnicy. Dzisiaj nie ma kleiku, bo nie ma czym palić w kozie. Mamunia mówi, że jutro przyniesie jakieś drewno, bo ma obiecane gdzieś tam, skąd przynosi ten jęczmień. Codziennie ten jęczmień ucierają w młynku do kawy i robi się z tego kasza. Nie lubię kaszy.

18 września

Wojna się nie kończy. Strzelanina i bombardowanie od rana, ale trochę dalej. Chodzę po podwórku i myślę, czyby nie wyrzeć na ulicę. Może tatulek

przyjdzie? Albo babcia. Idę do bramy i słyszę huk samolotów. Duże i nisko lecą. Nie widać ich, ale poznają to po tym huku silników. Huczą tak, jak nigdy nie słyszałem, żeby huczał nawet bombowiec. Ale na niebie nic nie widać, bo z podwórka widać tylko kawałek nieba. Nie idę jednak na klatkę schodową po drugiej stronie, żeby zobaczyć więcej nieba, bo te samoloty huczą jak ciężkie bombowce i jest ich dużo i pewnie zaraz będą nas bombardować. Uciekam do piwnicy, ale ten huk jest coraz głośniejszy. Żadne bomby nie spadają, bo nie słychać nowych wybuchów. Tylko trochę strzelaniny. Potem te wielkie samoloty odlatują i nic się nie dzieje złego. Ciocia Jadzia się modli, mamunia mówi: „A co to znowu? Pewnie będzie nalot”. Ale syrena nie wyje ani krowa nie ryczy, jest znowu ciszej, tylko normalna strzelanina całymi seriami raz dalej, raz bliżej, albo całkiem blisko. I te wybuchy, co zawsze. Nie wiadomo co to za samoloty były. Może ruskie. W bramie mówili, że może być jakiś desant. Desant to jest wtedy, jak z samolotu wyskakują żołnierze na spadochronach albo jak wyrzucają różne rzeczy, broń, „anumicję” albo jedzenie w konserwach. Ciekawe, czy jest tam jakieś mięsko albo marmolada. Jeść mi się chce, a tu tylko kleik z jęczmienia, i znowu miał ten jęczmień, a ja nie chcę tego wcale jeść, aż się mamunia denerwuje i trochę płacze.

19 września

Siedzę przy okrągłym stole i jem zupę szczawiową z jajeczkiem na twardo w zupie i kartofelkami na talerzyku obok. Kartofelki z koperkiem, a na nich kawałek masła. Masełko się topi. Nie mogę łyżką sięgnąć do zupy. Jeszcze raz nie mogę i wcale nie mogę, bo łyżka jest za krótka, coś za krótka i wygina się. Stoją w pokoju szkopy z karabinami i chyba będą do mnie strzelać. Krzyczą: „Raus, raus, szneler, szneler”. Budzę się, i nie ma stołu ani szkopów, tylko ciocia Jadzia rozpala kożę, a przez okienko bez szmat widać, że dzień będzie słoneczny. Nie słychać blisko strzałów, to wychodzę na podwórko zrobić siusiu, a dzień jest bardzo pochmurny. Tylko przez okienko tak mi się wydawało, że jest słońce i kolorowo jak w tym śnie albo w kalejdoskopie. Ale jest szaro, jak w piwnicy przy karbidówce. Idę do bramy, bo a nuż wróci tatulek i ja go pierwszy zobaczę. Ale nie ma go. Mamunia mówi o nim Waculek albo Wacio.

Nie daje znaku o sobie, i znowu jest smutna. I nie ma harcerza z listami. Bo czasami w bramie jest jakiś chłopiec w wieku Tadzia Krzeszowskiego z opaską powstańczą na mundurze harcerza i przynosi do kogoś list. Ale do nas nikt nie pisze. Tatulek też nie pisze, ani babcia Stasia, ani dziadziuś. Pewnie tam nie ma takich chłopców. Albo to za daleko, bo przecież by coś nam napisali. Na tych listach, co przynosi chłopiec, są jakieś inne znaczki z dużym napisem AK. Na listach przed powstaniem były zawsze znaczki z Hitlerem. Znaczki były różne w różnych kolorach, ale Hitler zawsze ten sam, z wąsikiem i „w ząbek czesany”. Tak słyszałem na podwórku. I jeszcze „malarz w ząbek czesany”. Malarz wiadomo, że to Hitler, bo to on jest w piosence „przegra wojnę głupi malarz”. Wygra Stalin. I będzie Polska jak cholera, bo tak jest w wierszyku o sacharynie. Huki i wybuchy przez cały dzień. Teraz chyba całkiem blisko, bo znowu trzęsie się oficyna i jest pełno pyłu. Raz tak dmuchnęło, że aż zgasła karbidówka, i ciocia Jadzia odmówiła *Pod Twoją Obronę*, i nic nam się nie stało.

20 września

Znowu huki i wybuchy bardzo głośno i blisko. Nie wolno mi wyjść nawet na podwórko, załatwić się muszę na nocniku i tylko trochę wody zostało w kubie do umycia rąk i buzi. Mamunia mówi, że potem przyniesie więcej. Na podwórku jest pompa i jak nie strzelali, to tam można się było nawet umyć. Ciocia Jadzia albo mamunia pompowała, a ja wtedy szybko się myłem. Ale to tylko przez parę dni. Teraz nie ma wody w tej pompie. Siedzę w piwnicy i czekam na kleik. Już się trochę przyzwyczaiłem. Jak zjem trochę tego kleiku, to na deser dostaję sucharek z marmoladą. Marmolady jemy mało, żeby starczyło na dłużej. Ta wojna jakoś się nie kończy i strzelają cały czas tak samo i wybuchy też są takie same jak przedtem. Nie mogę wyjść na ulicę, ale ciocia Jadzia mówi, że wokół są same gruzi i wciąż strzelają z miotaczy ognia. Najbardziej z tamtej drugiej strony naszej ulicy, gdzie chodziliśmy z mamunią do parku. Tatulek nie wraca, bo powstanie się nie skończyło. Pewnie nie wróci, aż przegonią szwabów. A może przyjdzie pojutrze na moje imieniny i powinszuje mi. Jak babcia Stasia miała imieniny, to jej mówiłem: „Winszuję, winszuję i nie przestanę, aż coś dobrego dostanę”. Babcia mi dawała wtedy czekoladkę albo kawałek tortu

z owocami. A mamunia przyniosła wczoraj paczkę kawy zbożowej i teraz piją z ciocią Jadzią. Ja spróbowałem, ale bez mleka i bez cukru jest niedobra. Smakuje jak jakieś lekarstwo na brzuch, taka gorzka. Mamunia mówi, że nie mamy już cukru i Munkowie też już nic nie mają. W ogóle ich nie widuję. Siedzą chyba w piwnicy po drugiej stronie podwórza i do nas nie przychodzą, ani my do nich. Nawet nie wiem, czy tam z nimi jest Halusia. I nie ma chłopców – Tadzia i Zdzisia. Oni są już duzi i wychodzą na ulicę i pewnie gdzieś poszli. Nikt mi nic nie mówi, dlaczego jeszcze nie kończy się wojna. Może Ruscy wcale nie przyszli ani to polskie wojsko z nimi. A może przegrywają i wygrał ten głupi malarz.

21 września

Na korytarzu jakaś starsza pani krzyczy: „Na cholere nas tu jeszcze trzymają? Po co to całe powstanie”. A druga też krzyczy: „I tak nas zabiją szwabys albo kacapy. Lepiej było wcześniej zdechnąć. Teraz się tylko męczymy”. I tak gadają, i jęczą przez cały dzień. Huki i wybuchy jak zawsze, ale na chwilę wychodzę na podwórko, a tam słońce i niebo niebieskie. W bramie nikogo nie ma. Ani akowców, ani harcerza z listami. Mamulka gdzieś poszła po wodę, bo ze studni nic nie cieknie. Nie ma się w czym myć, tylko woda do picia będzie, jak mamunia przyniesie. Wybuchy coraz bliżej i ciocia Jadzia woła mnie do piwnicy. Nie mogę sobie nawet pochodzić po podwórku. W piwnicy ciemno i duszno, i nudno. Tylko te wybuchy słyszeć i strzelaninę całymi seriami. To wszystko zupełnie blisko. Trochę śpiewam różne piosenki. *O mój rozmarynie i Żołnierz drogą maszerował*. Ale potem śpię, aż mamunia mnie budzi i każe jeść wstrętny kleik. Jutro są moje imieniny. Może tatulek przyjdzie, żeby mi powinszować. Ale nie będzie ani czekoladki, ani tortu. Nie ma na nawet marmolady do tej ohydnej kaszy. Z marmoladą albo z cukrem jadłbym bez grymaszenia.

22 września

Nie przyszedł żaden harcerz z listami. Siedzę na schodach do naszej piwnicy, bo w piwniczce jest duszno. Na korytarzu pełno ludzi. Leżą na kocach i siennikach, a jedna pani cała siwa siedzi na krzeselku i się kiwa.

Coś mówi sama do siebie. Chyba się modli. Ale chyba nie. Słyszę „cholera” „mordercy” i „ścierwo”. Tatulek mówił „cholera” i „ścierwo”, jak był zły. Kiedyś był bardzo zły i nie tylko tak mówił, ale jeszcze dał mi po pupie za to, że o mało nie wypadłem z okna na klatce schodowej. Tatulek poszedł do garażu, a ja wyszedłem na schody zobaczyć, czy nie wraca. Okno było tam otwarte, wlażłem na parapet i zacząłem mu machać ręką. On wtedy strasznie szybko wbiegł na to trzecie piętro, złapał mnie, wziął pod pachę, zaniósł do mieszkania i dał mi parę klapsów po pupie. Wtedy właśnie mówił „cholera” i „ścierwo”, i żebym nigdy tego nie robił. A mamunia mówiła: „Już dosyć, już go nie bij, on chciał dobrze”. Ta pani też teraz mówi „cholera” i „ścierwa”, więc pewnie też jest zła, tylko nie wiem na kogo. Wszyscy czekają na coś. Ja też czekam. Na tatulka. Ale jego nie ma. Aż w końcu zasypiam. Śnią mi się szwabcy w mundurach i łapanka, i strzelanina. Znowu uciekamy z mamunią do tej samej bramy. Ta brama mi się śni stale. Budzę się na sienniku w piwniczce. Znowu ta straszna kasza z jęczmienia. Mamunia nic nie mówi. Zdaje mi się, że trochę płacze, ale po ciemku nie widzę, tylko słyszę, że jakoś tak robi, jakby się dusiła. Słońce chyba nie świeci, bo za okienkiem jest szaro. Może to już noc. Znowu zasypiam i śni mi się, że bomba uderzyła w oficynę i że nie mogę wyjść spod gruzów. Ktoś mnie chce wyciągnąć, ale ciągnie za nogę i mi ją urwał. Budzę się z krzykiem. Ciocia Jadzia głaszcze mnie po głowie. Chce mi się pić. Mamunia nalewa mi do kubka trochę wody z czajnika i mówi: „Muszę iść po wodę”. Już trzeci dzień się wcale nie myłem, nawet buzi. Robię siusiu do nocnika i znowu zasypiam. Teraz już nic mi się nie śni.

23 września

Cały dzień siedzę w piwniczce i nie wiem czy śpię, czy nie śpię. Nie wiem, czy mi się śni, czy przypominam sobie różne rzeczy i to, co się działo przed powstaniem. Ryczy krowa, ale prawdziwa krowa, łaciata. Ciągłe strzelają i ciągle słyszeć wybuchy. Przysypiam, kiedy strzelają, a potem się chyba budzę i wtedy jest cisza, i tak cały dzień. Mamunia modli się z książeczki od dziadka. Ale jest ciemno. Pewnie nic nie widzi w tej książeczce. Ja jeżdżę po podwórku na trójkołowcu dookoła trawniczka na środku podwórka studni.

Dom od strony ulicy Skorupki przewraca się na mnie, a potem znów stoi na swoim miejscu. Szkopy biegają za mną dookoła klombu, a potem wchodzą trójkami przez bramę z tym swoim „hajli, hajlo”. Oglądam rysunki z Kaczorem Donaldem i ilustracje do Andersena. Na fotografiach. Zrobiła je ciocia Acia Uhrynowska. Mieszka na Politechnice. Tam pracuje jej mąż. Idziemy z mamunią z wizytą. Ja siedzę w wózku. Mamunia mnie pcha, ale potem idę już sam. Tylko zamiast do cioci Aci doszliśmy na Rybaki, i tam jedziemy windą na trzecie piętro i wita nas babcia Stasia, a dziadziuś tańczy kankana i daje mi czekoladkę. Potem ja piję aceton z toaletki mamuni. Ona tym acetonem zmywa sobie lakier, a potem znowu maluje paznokcie na różowo. Aceton ładnie pachnie. Mamunia okropnie krzyczy, a dziadek wlewa mi mleko do gardła. Wstaję z siennika i znowu ta sama piwniczka. Pali się karbidówka i zaraz pewnie dadzą mi kleik. Ale nic nie dają. Ciocia Jadzia na jakimś składanym krzesełku szydełkuje. Mamunia mówi, że kaszy już nie będzie dzisiaj. Jutro ma coś „zadobyć” do jedzenia. Czasem coś „zadobywa” i przynosi. Ciocia Jadzia mówi, że „Jania na pewno coś zorganizuje do jedzenia”. Nie ma nawet chleba na kartki. Czarny był i twardy. Ale chleb. Kiedyś był biały chleb i białe bułki, ale już ledwo pamiętam. Chcę bułki, ale nie ma. Czarnego chleba też nie ma, ani sucharów. Dostaję za to trochę kawy zbożowej w kubku. Nie mogę spać w nocy. Rzucam się na sienniku i strasznie mnie wszystko swędzi. Huk z armat i wybuchy, ale nie całkiem blisko.

24 września

Widzę dużą gęś, chodzi tam i powrotem, słyszę, jak ktoś mówi, że to jest gruźlica. Gęś-gruźlica. Boję się jej tak samo jak pana puk, puk i dukci. Potem to ja jestem tą gęsią i mamunia wpycha mi do gardła kluski. Budzę się, a mamunia wpycha mi do buzi kleik. Nie chcę go jeść, bo jest wstrętny i boję się jeszcze tej gęsi, że wróci, i widzę, że żadnej gęsi nie ma i to był tylko sen. Ja też już nie jestem gęsią i nie mam, gdzie się schować. Kiedy pan robił puk, puk, chowałem się pod nasz duży okrągły stół z obrusem i wcale mnie nie było widać, i siedziałem tam, aż pan przestał robić puk, puk. W naszej piwniczce nie ma żadnego stołu i nie ma, gdzie się schować. Jest tylko stołek z kuchni. Na

tym stołku stawia się kubki i talerze z kleikiem, jak na normalnym stole. A jak nie jemy, to mamunia stawia na nim kabałę albo gramy w wojnę i Czarnego Piotrusia. Teraz już nie gramy, bo wszystkim się znudziło. I nie jemy z tego stołka, bo karmią mnie tym kleikiem prosto z miski. A ciocia Jadzia i mamunia chyba w ogóle nic nie jedzą, tylko piją czarną kawę zbożową. Nie mogę wyjść na podwórko, bo znowu gdzieś niedaleko słychać bomby i wybuchy, i strzelaninę. Mamunia poszła z kubłem po wodę, a ja czekam, żeby wróciła, ale znowu zasypiam. Śnią mi się szkopskie mundury, a Mamrot siedzi na środku ulicy Wilczej i miauczy, aż nadjeżdża czołg i już ma go rozjechać, i wtedy się budzę. Ciocia Jadzia trzyma mnie za rękę i mówi: „Nie krzycz tak głośno, bo mama śpi i ją obudzisz”.

25 września

Mamunia i ciocia Jadzia wyszły z miskami i kubłami po wodę. Ja siedzę u pani sąsiadki i patrzę, jak stawia sobie pasjansa. U niej jest też ciemno, bo świeci tylko karbidówka, i nie ma słońca, bo pada deszcz. Nikt nie chce grać ze mną w wojnę ani w Piotrusia. Wraca ciocia Jadzia i mówi, że łapią wodę do mycia. Mówią, że deszczówka jest najlepsza do mycia głowy. Pewnie i mnie będą myły w tej wodzie, jak tylko nałapią. A mnie się tylko chce jeść i spać. Dawno już mi nikt nie mył głowy. Pewnie mam wszy albo pluskwy. Wracam do naszej piwniczki i nie wiem, co mam robić. Dzisiaj jest trochę ciszej. Tylko pojedyncze strzały. Wybuchy gdzieś daleko. Mamunia przynosi wodę i mówi, że jak grzecznie dam sobie umyć głowę, to dostanę cukru do herbatki. Nie wiem, skąd jest ten cukier, bo już dawno nie było cukru. Mamunia ciągle gdzieś chodzi i gdzieś „zadobyła” trochę cukru. Myje mi głowę, a potem jem nawet trochę kleiku i nie bardzo grymaszę. Ale ciągle chce mi się jeść i chciałbym, żeby były kartofle gotowane, najlepiej ze zsiadłym mlekiem. Mleka nie ma i kartofli też już nie ma, bo dawno zjedliśmy to, co było w piwnicy. Cukier jest w kostkach i nie można nim posypać tego kleiku, żeby był lepszy. Potem znowu śpię i się budzę, i znowu śpię. Kiedy się budzę, przypominam sobie, jak w Żeraniu też łapaliśmy wodę do miednicy. Wtedy też myli mi głowę tą wodą, aż mi się włosy zrobiły całkiem jasne.

26 września

Nie wiem, co się dzieje. Czy śpię, czy nie śpię. Ktoś tu przyszedł w mundurze akowskim i powiedział, że wojna się skończyła i karmił mnie kartoflanką ze skwarkami. Potem przyszedł harcerz i powiedział, że nic mi nie przyniósł, bo szwabzy zabrały mu wszystkie listy, zamienił się w dentystę i chciał mi wyrwać ząb. Wtedy się znowu obudziłem i chciało mi się pić, ale nie było nic do picia. Aż przyszła mamunia z kubłem wody i powiedziała, że nie mogę pić surowej wody. Zaczęła rozpalać kozę, żeby wodę zagotować. I znowu zasnąłem i śniło mi się, że spadam w dół i lecę, lecę i wiruję, i coś szumi, i wyje syrena, i huczy coś, a ja się kręcę i wciąż lecę w dół, a dookoła jakieś długie kolorowe wstęgi, które zmieniają się ciągle jak w kalejdoskopie i nie wiem, dokąd tak spadam głową w dół, a nogami do góry, i znowu się budzę na chwilę, i znowu chyba śpię i słyszę, jak dużo ludzi głośno mówi, ale nie wiem, co mówią. Nic nie wiem, co się ze mną dzieje.

27-28-29-30 września

Mętlik w głowie, nic nie wiem, nic nie pamiętam, tylko ten szum i kalejdoskop, i spadam, spadam...

1 października

Piwnica, ciemno, ciocia Jadzia i mamunia siedzą koło mnie i łyżeczką ciocia Jadzia wlewa mi do buzi ciepłą wodę. Woda jest paskudna. Ciocia Jadzia mówi: „Pij, pij, to jest lekarstwo, żebyś nie miał gorączki”. A ja chcę jechać do rygi, ale nie mogę, bo nic nie mam w brzuchu, tylko jakąś gorzką ślinę, i się krztuszę, kaszlę i nie mogę pojechać do rygi. Mdli mnie i jest mi niedobrze, i boli mnie brzuch. Znowu śpię. Nie wiem, czy to jest noc, czy dzień. Jest ciemno i nie pali się karbidówka ani koza. Na korytarzu słyszać wiele głosów i wiem, że tam jest wiele ludzi. Chodzą i biegają, i coś głośno krzyczą. Nic nie rozumiem. Tylko „To koniec, to już koniec. Zabiją nas wszystkich. Bandyci, ścierwa” i takie różne. I znowu śpię, i ciągle te wstęgi kolorowe, i ten kalejdoskop, i wycie

syreny, i jakieś dźwięki, jakby ryczały wielkie dzikie zwierzęta „wuuuuuuuu, wuuuuuuu, wuuuuuuu”.

2 października

wuuuuuu, wuuuuuu, wuuuuuu, spadam i spadam, i kalejdoskop ze wstążek.

3 października

Budzę się i wiem, że to wszystko mi się tylko wydawało we śnie. Ale już mi się nie chce jechać do rygi, tylko muszę zrobić siusiu. Na korytarzu ciągle słyszę hałas i dużo głosów i coraz ktoś powtarza: „Kapitulacja, kapitulacja, nareszcie, nareszcie”. Mamunia dotyka mnie w czoło i mówi: „Dzięki Bogu już nie masz gorączki”, i potem mówi do cioci Jadzi: „Chyba będzie mógł przejść ten kawałek”. A do mnie mówi: „Powstanie skapitulowało, dzisiaj nareszcie wychodzimy z piwnicy”. Zrywam się z siennika i od razu mam ochotę wybiec na podwórko i wrócić do mieszkania, ale mamunia mówi: „Jeszcze trochę, jeszcze trochę, za godzinę idziemy do Grzybowskich. Do naszego mieszkania już nie wrócimy, bo musimy wyjść z Warszawy”. Powstanie się skończyło, już jest cicho. Nie strzelają i nie ma wybuchów. Jakoś dziwnie, że tak cicho. Czekam, kiedy znowu się zacznie strzelanina, ale nic się nie zaczyna.

4 października i dalszy miesiąc

Idziemy do tych Grzybowskich na ulicę Mokotowską czy Piusa. Tam jest placyk, gdzie kończy się ulica Krucza. To całkiem niedaleko od Wilczej. Mamunia i ciocia Jadzia niosą jakieś tłumoki. Ja też niosę duży czarny parasol i książeczkę *Literki zaczarowane*. Mam też brązową, skórzaną śniadaniówkę, ale nie ma w niej nic do jedzenia, tylko karty do gry w Czarnego Piotrusia i organki. Tyle mi zostało z moich zabawek. Kalejdoskop został w piwnicy, bo nie zmieścił się do śniadaniówki. Zresztą nie będzie mi już potrzebny. Trochę się go boję, od kiedy zaczął się pokazywać w okropnych snach. Dokoła gruzy i płonące kamienice. Grzybowscy mieszkają w kamienicy na ulicy

Mokotowskiej, róg Piusa, która jakoś ocalała, i tam w ich mieszkaniu, a nie w żadnej piwnicy, spędzamy noc. Rano wyglądam przez okno i widzę jakiś tłum ludzi na tym placu. Stoją w szarych ubraniach czy kawałkach mundurów, jacyś zakurzeni i smutni. Mamunia powtarza „kapitulacja”, i że to są powstańcy. Już wiem, co znaczy kapitulacja. Powstanie upadło. Już nie będą strzelać, tylko gdzieś pójść. Słyszę, że my też musimy gdzieś iść. Ubierają mnie w pelerynę od deszczu, chociaż chyba nie pada i jest ciepło. Wychodzimy na ulicę. Nie ma już powstańców. Chyba ich gdzieś wywiozą do obozu. Idziemy w kierunku Marszałkowskiej. Po bokach zamiast domów są sterty gruzów. Mówię: „Ale góry, zupełnie jak w Zakopanem”. Nigdy nie byłem w Zakopanem, ale wiem, że tam są duże góry, no i tak sobie je teraz wyobraziłem. Wychodzimy na Marszałkowską, a tam znowu Zakopane, albo palące się kamienice. Przed nami kościół Zbawiciela, a na nim wieża w ogniu, ta prawa wieża. Do tego kościoła chodziliśmy czasem w niedzielę, a czasem do kościoła na Nowym Mieście, gdzie bardzo lubię chodzić, bo tam jest wymalowane niebo na suficie. Do tego kościoła z niebem chodzimy, jak jesteśmy na Rybakach u babci Stasi. Ale już dawno nie byliśmy w żadnym kościele. Nie dochodzimy do placu Zbawiciela, tylko skręcamy w prawo w kierunku Politechniki, gdzie mieszka ciocia Acia z wujem Stefanem. Jednak nie idziemy tam z wizytą. Idziemy w całym tłumie ludzi, jak na jakiejś procesji. Każdy coś dźwiga albo ciągnie jakiś wózek. Ja niosę swoje skarby: parasol, książeczkę i śniadaniówkę. Po drodze są resztki barykad. Wychodzimy na ulicę, gdzie leży przewrócony tramwaj. Obok na jakiejś platformie stoi wysoki szkop w eleganckim mundurze i rozdaje bochenki chleba. Mnie też daje bochenek, ale nie wiem, czy mam wziąć od szkopa. Patrzę na mamunię, a ona mówi: „Weź, weź, należy się nam”. Czytałem kiedyś w „Słonku” opowiadanie o jednym chłopcu, co nie chciał jeść kiełbasy, chociaż był bardzo głodny, bo dowiedział się, że to niemiecka kiełbasa. No to i ja teraz nie byłem pewien, co z tym chlebem. Duży bochen. Dawno nie widziałem takiego chleba. Teraz mam nową rzecz do niesienia. Idziemy dalej. Coraz dalej od Wilczej. Po drodze już nie kamienice i nie zwykła ulica, tylko jakaś droga polna. Po bokach domki, ale już nie kamienice. Nagle widzę konia. Leży na boku i jest całkiem zabity. Nie rusza się, tylko tak leży. Jeszcze trochę dalej widzę coś okropnego. Leżą nogi w pończochach i w butach i wystają

z kraciastej spódnicy, ale nic więcej nie ma, ani głowy ani górnej części ciała. Już wiem, że tę panią trafiła bomba i urwała jej połowę ciała. Jesteśmy zmęczeni. Podobno idziemy do Dworca Zachodniego, to jeszcze daleko. Po prawej stronie są jakieś pola czy działki. Rosną tam pomidory i cebula. Zatrzymujemy się przy tym polu. Ktoś mi podaje pomidora i cebulę. Ktoś kraje chleb, który aż tu doniosłem. Nie lubię cebuli, ale bardzo mi dzisiaj smakuje z tym pomidorem i z chlebem. Dawno nie jadłem takiego frykasa. Idziemy dalej. Jeszcze dalej. Słońce coraz niżej, przed nami i obok. Zachodzi. Robi się zmrok. Dochodzimy do dworca. Każą nam wsiadać do pociągu. Będę pierwszy raz w życiu jechał prawdziwym szerokotorowym pociągiem. Jeździłem tylko wąskotorówką-samowarkiem do Żerania, a tu prawdziwy wielki i długi pociąg. Ale to nie jest pociąg dla ludzi. Wagony są towarowe, czerwone i nie ma tam miejsc siedzących. Wszyscy siadają na podłodze, ale zaraz wstają, bo wchodzi więcej ludzi i robi się ciasno. My jesteśmy dość blisko wyjścia. Olbrzymie drzwi zasuwają szkopy w mundurze i z karabinem. Jedziemy. Udaje mi się usiąść na naszym tobołku. Nie wypuszczam z rąk parasola i książeczki, a śniadaniówkę mam przewieszoną przez szyję jak jakiś konduktor. Jedziemy i jedziemy, ale wolno, bo słyszę wolny stukot kół. Daleko nie ujechaliśmy. Pociąg staje. Głośno odsuwają się drzwi. Jest już całkiem ciemno. Słyszę, jak ktoś mówi: „Pruszków”. Słyszę, jak wujo Grzybowski mówi coś po niemiecku do szkopa, który otworzył drzwi. Nie słyszę dobrze, co on tam mówi, tylko rozumiem „Muter mit klajn kind”, czy coś takiego. Coś daje szwabowi. Nie wiem, czy to pieniądze, czy jakiś papier. Ale wiem, że mamy wysiadać. Wysiadamy. Mamunia, ciocia Jadzia, ja i Grzybowscy. Dużo ludzi też wysiada. Słyszę ciągle „Los, los, szneler, szneler”. Szkopy w mundurach i z karabinami popędzają nas. Idziemy i biegniemy z bambetlami na prawo, aż dochodzimy do wielkiej fabryki. Tam pełno ludzi. Leżą na workach czy jakichś płachtach na betonie. My też siadamy i siedzimy całą noc. Ja trochę przysypiam i nawet nie wiem, kiedy już jest rano. Wujo Grzybowski mówi: „Wychodzimy stąd”. Idziemy w kierunku pola. Stoi tam furmanka zaprzężona do jednego konia. Ładujemy się wszyscy z bambetlami na tę furmankę i jedziemy. Jedziemy, a dzień jest słoneczny. Jedziemy, jedziemy i dojeżdżamy do Komorowa. Mały parterowy dom. Tam mieszkają jacyś krewni Grzybowskich. Ale my tam nie zostaniemy.

Mamy po południu jechać gdzieś dalej, ale nie wiem gdzie. Dostaję kubek gorącej i słodkiej kawy z mlekiem. Kawa jest zbożowa, ale pychota. Wypiłem kawę i wychodzę przed dom. Na chodniku widzę, że idzie do nas ktoś znajomy. Ma płaszcz przewieszony przez ramię i coś sobie pogwizduje pod nosem. To stryjek MuneK. Idzie sam. Tatulka nie ma z nim. Zobaczył mnie i woła: „Tomuś! A gdzie Mama?”. A ja pytam: „A gdzie tatulek? Dlaczego nie przyszedł z tobą?”. Stryjek mówi, że nie wie, że pewnie jutro przyjdzie.

Ani jutro, ani później, ani wcale tatulek nie przyszedł do nas. Za to my, ja, mamulka i ciocia Jadzia pojechaliśmy do Brwinowa. Zamieszkaliśmy na drugim piętrze kamieniczki niedaleko stacji kolejowej. Tam jadłem pyszny barszcz z kartofelkami obok na talerzyku i ze skwarkami, tak jak lubił jeść tatulek. Tam, w naszym pokoju stała fisharmonia, która nie chciała grać, bo trzeba było nadeptywać pedał i pompować powietrze, a ja byłem za mały, żeby jednocześnie pompować nogą i grać rękami. Miałem swoje organki i na nich grałem piosenki, których nauczyłem się w piwnicy na Wilczej i na podwórku. W tym domu w Brwinowie mieszkaliśmy prawie miesiąc. Tam pewnego dnia przyszła jakaś pani z Warszawy i długo rozmawiała z mamunią w sąsiednim pokoju. Mamunia przyszła do naszego pokoju i powiedziała: „Tatulek nie żyje. Poległ w powstaniu”. I nic więcej. Nawet nie płakała, kiedy to mówiła. Tylko potem płakała, kiedy myślała, że nie widzę. Ja też nie płakałem, kiedy ktoś patrzył.

A potem pojechaliśmy do siostry tatulka, cioci Ady, do Żyrardowa. Tam byliśmy już do końca wojny i trochę później. Ale to już inna historia.



Powązki, Cmentarz Wojskowy

Po powstaniu

Babcia Stasia i dziadzio Janek zostali wywiezieni z PWPW na Rybakach do obozów koncentracyjnych w Ravensbrück i Mauthausen. Babcia przeżyła i potem znalazła się w Szwecji, aż przyjechała do Polski pod koniec roku 1945, kiedy już zacząłem chodzić do szkoły na Bielanych.



Stanisława Pretkielowa po powrocie z Ravensbrück

Dziadek umarł w dniu, kiedy Amerykanie wyzwolili obóz w Mauthausen. Umarł z wycieńczenia. Do mieszkania z dziurawym sufitem na Wilczej już nigdy nie wróciliśmy, a mieszkanie na ulicy Rybaki przestało istnieć, bo zostały same gruzy.